

Na Rojstach
Litewskich

K.675.

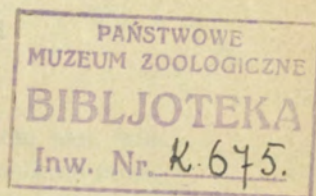
UNIVERSITÄT
HABSBURG
BIBLIOTHEK
Nr. 17. K. 675

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

Warszawa. Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy Świat Nr 41.

NA ROJSTACH LITEWSKICH.



Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WARSZAWA

Nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego“.

1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава 13 Апрелья 1904 г.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 675



1000000000078
<http://eml.org.pl>

„Tam, świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty.
Puszcze czarne, zboża marne,
Nieba bledsze, trawy rzadsze,
Rojsty grząskie, groble wąskie“.

Wincenty Pol.

Kolegom myśliwym.

Prawdziwie ocenić i zrozumieć, czym jest wieś w czasie lata, umieją tylko mieszkańcy wielkich miast, skazani na spędzenie letnich upałów w miejskich murach, rozpalonych dziennym skwarem, których nawet chłodniejsze noce nie są w stanie ostudzić. Ci nieszczęśliwi zapominają, czym jest świeże powietrze w lesie albo na polu, a o prawdziwej zieloności tracą pojęcie, patrząc na szare od kurzu, uliczne drzewa i publiczne ogrody.

To też wyjazd na wieś zalicza przeciętny mieszkaniec miasta do szczęśliwych chwil, jakie mu się w ciągu roku przytrafić mogą, i godziny wyjazdu czeka, jak wybawienia.

Wyjazd taki nabiera jednak większego jeszcze uroku, jeżeli to myśliwy jedzie na polowanie. Ach, samo słowo „polowanie“— jak ono czarownie brzmi dla ucha miejskiego Nemroda, który nieraz miesiące czekać musi, zanim mu je wolno wymówić; dla zapalnego myśliwego, który nie widuje innej zieloności, jak na skwerach miejskich, a zwierzynę w sklepach za szybą!...

Każdy z nas, dla których św. Hubert srogim był patronem, zamykając nas w mieście z naszą namiętnością, zna bicie serca, towarzyszące takiej wyprawie, i gorliwe przygotowania, które ją poprzedzają.

Broń, drzemiąca spokojnie na ścianie, zostaje zdjętą na trzy dni naprzód, i okurzona, odczyszczona, czeka, zamknięta w podróżnym futerale, aż wybije uroczysta chwila, w której znów ujrzy światło dzienne.

Ubiór, przybory, amunicya — wszystko w szyku, a poczciwy „Bekas“ albo „Dyana“, pędzące beczynny żywot na zagładaniu w oczy kucharce, wyrastają do rzędu najpierwszych osób, którym wszyscy dogadzają, nie szczędząc pieśczot i przysmaków.

Na wsi, polowanie to rzecz codzienna, zwyczajna, spowszedniała nawet dla najzapaleńszych; ale dla nas, miejskich ślimaków, przygniecionych ciasną skorupą obowiązku, wiążącego do miejsca — to owoc zakazany — ba! często raj utracony dla tych, co dawniej na wsi mieszkali. To też, kiedy wiejski myśliwy widzi w polowaniu najczęściej samą tylko treść, tj. widok zwierzyny i piękny strzał, nad jedno i drugie przynosząc często dobre śniadanie i wesołą kompanię — ina-

czej rzecz się ma z jego miejskim kolegą. Dla miejskiego myśliwca polowanie to swoboda, głowa wolna od trosk, powietrze, ruch i zdrowie, słowem wszystkie najcenniejsze dary życia, których los skąpił mu rok cały, a w dodatku uczucie, że wolno mu wreszcie zaspokoić namiętność i umaczać usta w słodkim kielichu, do którego wzdychał długo napróżno.

„Ach, i ja kiedyś w Arkadyi byłem!“ i trzy miesiące najpiękniejszego polowania, całe wakacje uniwersyteckie, spędziłem w okolicy, niezmiernie w zwierzynę bogatej, gdzie bite kuropatwy tysiącami się liczyło. Dziś odwrócił odemnie oblicze swe św. Hubert, mieszkam w mieście, poluję rzadko — kiedy czas pozwoli — i z westchnieniem wspominam lepsze, jaśniejsze dni...

...dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!“

Ostatni rok szczególnie był mi pod względem polowania fatalnym, bo ważne zajęcia nie zostawiły mi ani chwili wolnej. Musiałem siedzieć w mieście przez cały sezon myśliwski, i minęła jesień, a potem zima, w ciągu których nie dałem ani jednego strzału.

Z początku, kiedy w chłodne ranki zawisała nad światem jesienna mgła, kiedy w powietrzu zjawiała się pajęczyna, a w polu zapachniały powiedle kartofle, ta nieodłączna woń przy polowaniu na kuropatwy — trapiła mnie nieopisana tęsknota.

Pierwsza ponowa, kryjąca miejskie dachy białym płaszczem, sprowadzała mi łzy do oczów, i chodziłem

dnia tego jak struty, miejsca sobie nie mogąc znaleźć, tak mi w mieście było źle i ciasno...

Potem przyszła wiosna, myśliwskie bezrobocie; nie polowałem więc i ja, a wspomnienia dawniejszych tryumfów przesłoniły się tymczasem mgłą zapomnienia, za którą, jak miraż, przesuwały się rozkoszne obrazy, widziane w szczęśliwsze dni. Oblawy na grubego zwierzka w lesie, przysypanym śniegiem — złote pola ściernisk, przeszukiwane szybko przez białe wyżły — albo gluche stawy i szuwary, wśród których bez szelstu sunęła łódka...

Że będę jeszcze polował w życiu, sam nie śmiałem wierzyć. Nie wyobrażałem sobie, żeby ten piękny sen mógł się ziścić, bo rzeczywistość byłaby zbyt piękną...



Nadeszło tymczasem lato, skwarne i duszne, pełne kurzu i zaduchów. Kto mógł, uciekał z miasta. Warszawa pustoszała z dnia na dzień, aż zostali się w końcu tacy, którym los odmówił zupełnie zieloności i powietrza. Tak zastał mnie w Warszawie lipiec.

Oddawna byłem zaproszony na polowanie na Liwę przez kolegę uniwersyteckiego; zaproszenie ponawiał co roku, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie i wybrać się nigdy nie mogłem mimo szczerzej chęci. Obiecywał strzał do głuszców i pardw, a o cietrzewiach i dubeltach nie było co i mówić — uważano je tam za zwierzynę tak pospolitą, że jej nie wspomniano.

Przy kłopotach i troskach o zaproszeniu tem zapomniałem, kiedy pewnego dnia, wróciwszy do domu, poznałem między listami, przyniesionymi pod mą nieobecność, pismo mego kolegi. List był serdeczny, nalegający, żeby przyjechać koniecznie, bo zwierzyny tego roku dużo i polowanie zapowiada się doskonale. Serce zabiło mi żywo, kiedy przeczytałem te słowa—uczulem, że dawna gwałtowna namiętność odżyła we mnie w całej sile. Niech będzie co chce—pomyślałem—pojadę! Dla takiej zwierzyny, jaką tam mam spotkać, warto zgrzeszyć. Gdyby to były kuropatwy albo zające, nie mówię, ale gluzce! Pojadę *à tout prix*. Nie miałem, co prawda, czasu, powinienem był siedzieć i piec się w mieście, ale robota była nie pilna a pokusa ogromna. W mieście gorąco panowało, jak w łaźni, wieś i lasy nęciły, a w tych warunkach sumienie staje się elastyczniejszym, łatwiej z niem wejść w ugodę. Żeby się nie rozmyślić, odpowiedziałem depeszą, że przyjadę, i poprosiłem o konie.

W trzy dni później, w piękny lipcowy poranek, w towarzystwie starego Black'a, wysłużonego pointer'a, przed którym zabiłem już dużo setek kuropatw, ruszyłem na dworzec. Myślę, że Stanley, ruszając w głąb Afryki na poszukiwanie Emina-paszy, nie przygotowywał się staranniej, niż ja. Począwszy od nowej dwunastki, która miała odbyć swój debiut, a skończywszy na nowym kapeluszu, sprawionym *ad hoc* — wszystko było jak na przegład, bez zarzutu.

Z lekkim sercem wsiadłem do dorożki, bojąc się, żeby w ostatniej chwili nie zaszło coś, coby wyjazd-

wi w poprzek stanąć mogło. Ze schodów schodziłem, jak ktoś, co się boi pogoni—nie śmiałem się obejrzeć. Wreszcie dorożka ruszyła — odetchnąłem.

Miałem poprostu niebo w sercu, a Warszawa nie wydała mi się nigdy tak piękną, jak tego ranka. Kobiety wydały mi się przystojniejsze, niż zwykle, dorożka nie grzechotała rozsrubowanym żelaztłem, powietrze, którym oddychałem, było czyste i wonne, a nawet mój dorożkarz był dziwnie uprzejmym tego dnia nadzwyczajnego...

„Black“, równie jak ja, w doskonałym jechał humorze. Poszczekiwał na mijające nas psy, jak gdyby się chwalił; wspinał się na kozioł, obwąchując kołnierz dorożkarza z dziwną uporczywością, a po nogach deptał mnie tak zawzięcie, jak gdyby to było jedynym celem jego podróży.

Od czasu do czasu zwracał jednak uwagę i na mnie, spoglądał mi w oczy i trącał nosem w rękę, co w jego psim języku znaczyło mniej więcej: „Widzisz, bawi mnie to wszystko i zajmuje bardzo, ale myślę i o tobie, bo kocham cię po dawnemu.“

Minęliśmy most żelazny na Wiśle, koła zaturkotały znów po bruku—i stanęliśmy na dworcu. Tu biednego „Black’a“ ciężkie czekały chwile, bo mimo gorących starań z mej strony, mimo szeleszczących argumentów, których nie szczędziłem, zamkniętym został do okratowanej psiej budy, które to miejsce etyka kolejowa wyznacza psom nawet opatrzonym kagańcami. Nie pomogło nic. Biedny „Black“, mimo energicz-

nej obrony, znalazł się najniewinniej w świecie za kratą.

Ha! cóż robić, mój biedny psie! Nie ty pierwszy i nie ostatni—wyższych od ciebie to spotykało...

Swoją drogą żal mi go było niezmiernie i odszedłem od wagonu, żeby nie słyszeć jego żalnego wycia, i nie widzieć żółtych okrągłych oczów, żalnie we mnie patrzących, jak gdyby pytały, za co go ta krzywda spotyka?

Odwiedzałem go na każdej stacyi, gdzie czasu było dosyć, nosząc mu przysmaki i karesy, a w Białymstoku, gdzie jedliśmy obiad, dobra harmonia wróciła między nami w zupełności. Przekonał się i wyrozumował psią logiką, że podróż, choć za kratą, nie jest znów tak złą rzeczą, bo krzywdy nie robią, a jeść dają smacznie.

Za Białymstokiem kraj widocznie zmienił fizyognomię. Wsie stały się rzadsze, uboższe, częściej świecił piasek po polach, w wąskie zagony oranych; po łągach stała woda na czarnem błocie. W lasach zjawiała się jodła, lasy były niskie, wilgotne, przechodzące miejscami w torfniaki, porosłe karłowatą brzozą i sośniną.

W takich lasach znaleźć się miałem wkrótce; przyglądałem im się więc z podwójnem zajęciem. Cały ten świat, do którego niósł mnie trzęsący wagon, był dla mnie nowy i nieznany; natura, ludzie, ich obyczaje — wszystko to zaciekawiało mnie niezmiernie. Wielkich miast miałem już wogóle dosyć, więc przypatrzeć się chciałem ludziom, bliżej żyjącym z miej-



seową przyrodą, ludziom, noszącym osobny charakter ziemi, która ich żywi, niespłowiłym pod promieniami banalnego kosmopolityzmu i tak zwanej kultury, polegającej zazwyczaj na picciu koniaku, który nie widział Francyi, i na paleniu hawańskich cygar z Hamburga.

Za Grodnem wjechaliśmy we właściwą Litwę, a tymczasem słońce kończyło dzienną swą wędrówkę, i na krajobrazy, migające przez okna wagonu, zapadać zaczął wieczór, topiąc dalsze przedmioty w szarym półcieniu. W wagonie powietrze było straszne, bo jakaś Rosyanka z uszami zatkniętymi watą i z kwaśną twarzą, obawiała się „cugu“ i bólu zębów. Wyszedłem więc na platformę odetchnąć trochę świeższem powietrzem.

Pociąg pędził przez torfiaste, rozległe łąki, porośnięte lichą krzewiną; na tle ciemnej ściany boru świeciła wysoka, lysa góra piasku, ozłocona ostatnimi promieniami zachodu. Krajobraz to typowy litewski, który spotykałem tam na każdym niemal kroku. Powtarzają się na nim zawsze: bagno, piasek i las...

Po krótkim lipcowym zmroku ziemię przykryła noc piękna, jasna, pełna świeżości i zapachów, które w ciągu dnia słońce wywabило z ziemi. Nasycić nie mogłem się chłodnem powietrzem, które prół gwałtowny bieg pociągu. Tego balsamu, którego mi brakło od roku, miałem tu niemal za dużo. Tłoczył mi się do płuc, szumiał w uszach, przenikał moje włosy i ubranie—i były skarbu tego, pożądanego w wielkich mia-

stach, całe morza i przestwory, których wypić nie potrafiliby wszyscy mieszcuchy razem zebrani.

Pociąg pędził jak zapamiętały, ciągnąc za sobą długi warkocz dymu, nasiany iskrami.

O dziesiątej z wieczora minęliśmy Wilno — i dobrze po 12-ej, głuchą już nocą, dojechaliśmy do małej stacyi, gdzie czekać na mnie miały konie. Jakoż zastałem małą, leciutką bryczkę na drewnianych osiach, zaprzęzoną parą krępych żmudzinów o łbach kudłatych, jak żubry. „Black“ uszczęśliwiony swobodą, uspokoić się nie mógł w radości; skacząc i skomląc, pierwszy wskoczył na bryczkę. Ruszyliśmy — i od tej chwili rozpoczęła się moja odysea litewska, pełna wrażeń, nowych ludzi i zdarzeń.

* * *

Za stacją zaraz wjechaliśmy w bór, ciągnący się dwiema wysokimi ścianami z obu stron drogi, chłodny, wilgotny od rosy i pełen zapachu grzybów i żywicy. Było to pierwsze wrażenie, jakie odbiło się na mych mózgowych kliszach — najpierwsze i najmocniejsze — to, którego nie zapomina się nigdy. Odpowiadało ono doskonale obrazom, jakie snulem w wyobraźni, myśląc o Litwie. Piaszczysta droga prowadziła przez głuchy, ciemny las, pachnący puszcza i niedźwiedziami. Z radością myślałem, że oto jestem na tej Litwie, o której tyle słyszałem i czytałem. Wszystkie bajki i historye, słyszane od dzieciństwa, o litewskich borach, zwierzynie grubej i litewskich polowaniach, sta-

nęły mi w pamięci. Serce biło mi żywo, kiedy myślałem, że jestem na koniec w tej obiecanej krainie myśliwego, opiewanej przez poetów, i że nie dalej jak jutro deptać ją będę sam — myśliwy — ze strzelbą w ręku.

Jechaliśmy stępą po piaszczystej drodze, nad którą świecił jasny pas nieba nad wierzchołkami sosen. Noc była dziwnie gwiaździsta, urocza i spokojna. Czułem, że mi jest w tej ciszy nad wyraz dobrze, że odpoczywam po turkocie miasta, który został gdzieś bardzo daleko. Zlałem się w jedną całość z tą ciepłą nocą lipcową i z lasem, w którym zniknąłem, jak ziarnko piasku, bez myśli i bez woli.

Tego słodkiego uczucia nicości i ubezwładnienia, uczucia ogromnego spokoju, doznaje każdy człowiek, kiedy po długim życiu sztucznym i abstrakcyjnym zetknie się naraz z blizką z wielkimi dziełami przyrody. Uczucie, jakiego się wówczas doznaje, ma w sobie coś kojącego, pocieszającego i podobnym jest do uczucia zmęczonego dziecka, tulącego się do łona matki...

Sprawy, które wczoraj jeszcze pochłaniały mnie całego, wydawały mi się dzisiaj, wobec gwiaździstego nieba i tej cichej nocy litewskiej, małymi i śmiesznymi, a ludzie z ich codziennym, kłopotliwym życiem — istotami z innej planety.

Nie chciałem myśleć, że to „dziś“ jest tylko słodkim snem, a wczoraj i jutro rzeczywistością. „Black“, podobnie jak i ja, był pod urokiem chwili, bo spać nie

chciał, tylko strzygl uszami, badając nosem zalatujące go z lasu, nieznane wonie.

W wyobraźni i ja widziałem las, przez który szła droga, napelniony zwierzyną, bo nie wystawiałem sobie litewskiego lasu bez wilków i niedźwiedzi. Byłbym się też nie zdziwił zbyt, gdyby z zarośli wynurzyła się naraz rosochata głowa losia albo niedźwiedzia. Ale były to naturalnie mrzonki tylko, wysnute z wyobraźni, chciwej złudzeń. O losiach i niedźwiedziach pamięć nawet zagięła w tych stronach, od czasu jak przeprowadzono kolej, która pożarła okoliczne lasy. Sam bór, przez który jechałem, z puszczy widzianej w nocy, przemienił się w jasnych promieniach słońca w lichy sosnowy las, tego poszczerbiony siekierą.

Na razie jednak złudzenie było zupełne i pozostało mi to pierwsze wrażenie Litwy w postaci ciemnego boru, zalanego nocą, tajemniczego i głuchego, pełnego dzikich woni i uroku.

Wyjechaliśmy z lasu. Niebo bladło już świtem, nad rolę wisiał w powietrzu pierwszy skowronek, witający ranną pieśnią, budzący się dzień. Nad łąkami podnosiła się biała mgła, przesłaniając krzaki i drzewa zasloną z gazy i zacierając kontury przedmiotów.

Droga przestała być piaszczystą i bryczka turkotała coraz częściej po groblach, ułożonych z okrągłaków na bagnach. Pola grodzone były płotami, zamkniętymi w poprzek drogi bramą. Stawaliśmy przed każdą; gruby Antoni zląził z kozła, mruczając pod no-

sem na żmudę, i otwierał bramę, którą zostawiał otwartą, przejechawszy.

Mineliśmy kilka wsi i zaścianków, także zamkniętych bramami. Wsie ludne, czyste, dobrze zbudowane i ogrodzone, świadczą dobrze o gospodarności miejscowego ludu. Domy stoją bokiem do drogi, budowane w węgiel z ogromnym okapem dachu, słomą najczęściej kryte. Pod okapem wiszą drabiny, brony i inne gospodarskie porządki. Podwórka ciasne, ale czyste, budowane w kwadrat, składają się z obórki, „świrni“, czyli stodoły, i małego spichlerzyka, na słupach budowanego, „klecią“ tu zwanego. Podobne są do siebie, jak dwa ziarna, i nie wiem, jak sami gospodarze poznać je mogą.

Okienka po chatach równe, kwadratowe, miały wszystkie szyby w porządku. Z jednego wyjrzała jakaś płowa, rozczochrana głowa, patrząca zaspanemi oczyma, kto tak rano jedzie.

O ile wsie robią wrażenie zasobnych i porządnie zabudowanych, o tyle gleba jest biedną, mało rodzi i po macoszemu traktuje tych, co ją kochają. Liche żyto i liche kartofle, czasem trochę gryki pod lasem na wycinkach—to cały plon i owoc całorocznej pracy chłopca. Pomimo to lud pięknie wyrosnięty, dorodny, choć brzydki z twarzy. Za to grzeczny, usłużny, wita podróżnego, chwala Jezusa, i czapkę zdejmuje. Ubrani w szary samodział z wełny i niebielone płótno, harmonizują z otoczeniem, jak oni, płowem i bezbarwnem. Na Kujawach, w Łowickiem, w Sandomierskiem, gdzie gleba bogata mieni się pyszną zielonością i zło-

tem pszenicy, stroi się i lud w jaskrawe kolory. Tutaj chłop, ten najbliższy syn ziemi, którą uprawia, przyjął także barwy swej karmicielki i szarą, jak ona, nosi szatę.

Rzeczywiście, przeważającym tu kolorem jest szary, jak gdyby wszystko, na co się patrzy, przesłonięte było cienką warstwą popiołu. Nawet wspaniałe lipcowe słońce, które wyrzało z za dalekiego lasu, nie ożywiło tego kolorytu.

Przedmioty zbliżyły się tylko, rozjaśniły, ale szara, posępna barwa krajobrazu została ta sama. Na szarej roli zboże szare i marne, bory i łąki, nawet w południe przesłonięte lekkim welonem mgły szarej; drewniane domy, szare od starości i mrówczy lud chłopski, w samodziół szary odziany.

— Cóż, Antoni, daleko jeszcze? — zapytałem furmana.

— Wiorst trzydzieści będzie, pan, — brzmiała pocieszająca odpowiedź.

Do dyabła, myślałem w duchu, jedziemy cztery godziny i ujechaliśmy dwadzieścia wiorst! Kiedy my dojedziemy!

— Popaść trzeba, pan, w Bołowie, bo konie ledwie nogi wloką—dodał po chwili gruby Antoni.

Rzeczywiście, żmudziny robiły bokami i pospuszczały kudłate lby, sapiąc.

— A do Bołowa daleko? — zapytałem, aby coś powiedzieć, bo w rzeczy samej było mi wszystko jedno od chwili, gdy się dowiedziałem, że od celu podróży dzieli nas jeszcze trzydzieści wiorst, które trzeba by-

ło przebyć po piasku i groblach z tańczących pod kołami pniaków.

— A ot Bołowo, tam, gdzie młyn — odpowiedział Antoni.

Jakoż wjechaliśmy do wsi, bryczka zaturkotała po moście i stanęliśmy przed karczma. Z karczmy wyszedł żyd arendarz, zaspany, spocony, z włosami, pełnemi pierza. Widać, zbudziliśmy go i ruszyli z betów. Klaniając się nisko, zapraszał do izby, zapewniając, że samowar „zaraz będzie“. Woląłem czekać przed karczma, bo w izbie, pomimo wybitego okna, zaduch był nieznośny i tysiące dziwnie natarcywych much, cisnących się do ust i do oczu. Żyd, jako grzeczny gospodarz, dotrzymywał mi towarzystwa i bawił rozmową. Wytrzymawszy indagację, kto jestem i gdzie jadę, sprowadziłem rozmowę na więcej miejscowe tematy i z kolei ja zacząłem rozpytywać o okolicę, szlachtę i t. p. Żyd znał wszystkich na pamięć. Kiedy dowiedział się, do kogo jadę, powiedział:

— A znam, znam, stary pan (ojciec mego kolegi) zawsze tu bywał u mnie, jak jechał na kolej.

— A lasy tam duże? — spytałem na chybił trafił, chcąc się dowiedzieć czegoś, coby mnie naprawdę obchodziło. — Zwierzyny dużo?

— Nu, dawniej to była. Zjechali się panowie, postawili obławie dwa, trzy antaiki wódki, to zawsze zabili kilka losi. Ale teraz lasy wycięte, to losiów niema.

Nawiasem mówiąc, pejsaty mój gospodarz wiedział coś o wycinaniu lasów w okolicy, bo był sam, jak się później dowiedziałem, faktorem, napędzającym

okoliczną szlachtę do kieszeni wileńskich żydów, którzy lasy rąbali. O dalsze szczegóły odprawianych w okolicy polowań nie próbowałem go pytać, bo z tych interesowały go jedynie stawiane obławie antalki.

Brudna, jak mąż, karczmarka przyniosła tymczasem kipiący samowar. Antoni wydobyl z bryczki pękaty koszyk, naładowany przeróżnemi przysmakami w takiej ilości, że trzech można było niemi obdzielić. Jedząc, prosiłem żyda, żeby mi dał soli. Przytnął trochę w papierku, bojąc się widocznie, że bym nieczystym dotknięciem nie strefił jego solniczki. Żyd był jakiś starowiec i po staroświecku ubrany w jarmułkę, z pod której splywały grajczarki pejsów, na nogach miał przydeptane pantofle, a z pod kamizelki wylazła mu śmiertelna koszula. Zapach, który nosił z sobą, intrygował bardzo „Black'a“, który go obwąchiwał uporcezywie ze wszystkich stron, niepokojąc żyda zbytnią bliskością. Konie odpoczęły tymczasem, podjadły, Antoni napił je i orzekł, że możemy ruszać w dalszą drogę.

Zaraz za wsią wjechaliśmy na ogromną płaszczynę żółtego, lotnego piasku, ciągnącą się przed nami, jak okiem zasięgnąć. Na piasku jasnym, olśniewającym od słońca, sterczały na łokieć czarne, opalone pieńki, smutne i martwe, jak nagrobki. Bo też jechaliśmy po cmentarzysku zniszczonego nieopatrzną ręką lasu.

Dwadzieścia kilka lat temu na tym piasku rosła puszcza, kryjąca starodrzewem mile kwadratowe. Pod sosnami, Witolda pamiętajacemi, spacerowały łosie

i niedźwiedzie, w konarach litewskich olbrzymów pędził zbójceki żywot rys, tyranizując drobną gawieź, po ziemi chodzącą. Teraz te cuda, na które stulecia się złożyły, znikły—a jedyny ślad, który po nich pozostał, to te zwęglone pnie, których nie zwyciężył ani czas, ani ogień, i smutek w sercach tych, którzy pamiętają lepsze czasy...

Jest to, niestety, zwykła kolej litewskich lasów; kupcy zabierają tylko pnie, t. z. „towar“, a wierzchoły i gałęzie zostają na miejscu, bo materiał opałowy nie ma wartości. Pewnej nocy koniuchy, pasający nocami, zapomną zgasić ogniska, wszczyna się pożar, przy takiej nagromadzonej ilości drzewa straszny, i ginie wszelka drobna roślinność, którą oszczędziła siekiera, a w kilka tygodni, kiedy wiatr rozniesie popioły, pozostaje z lasu tylko ziemia, na której rósł, i te czarne, ponure pnie, sterczące ku niebu, jakby pomsty wołały. Był to najsmutniejszy kawał drogi z całej mej podróży.

U nas po wyciętym lesie życie kwitnie dalej. Jeżeli wycinki nie zostaną zagajone na nowo, to po siekierce idzie pług i pszenica zacierą pamięć i ślady lasu. Tutaj po lesie zostaje śmierć i naga ziemia, bo na piasku, rzucanym wiatrami, nawet trawka i jałowiec nie chcą się trzymać.

Słońce odbijało się od piasku i przygrzewało mimo wczesnej godziny, jak w południe. Konie wlokły się noga za nogą, przytem krajobraz był strasznie monotony, niczem nie wiążący myśli, ani oczu. Zacząłem czuć senność i kiwając głową, jak żyd przy

modlitwie, zasnąłem. Obudziło mnie mocne stuknięcie pod bryczką. Byliśmy znowu w lesie. Antoni, śpiąc, jak ja, wjechał na korzeń, których mnóstwo wychodziło na drogę. Las był piękny, wysokopienny i mocno podszyty. Przecierałem oczy, szczęśliwy, że się już skończyło to morze piasku i te opalone pnie, śmiercią pachnące—radowałem się życiem i zielonością, które miałem przed sobą.

Dróżynka, poprzecinana korzeniami, wiła się kręto pomiędzy grubymi pniami sosen, jak na obrazach Chełmońskiego. Obrazy, które widziałem kiedyś, tak były wierne, tak prawdziwe, że zdawało mi się, iż to właśnie miejsce służyć musiało za model wielkiemu artyście. Drogi nie prostował, nie wytykał inżynier; była naturalna, tak, jak naznaczył ją pierwszy chłop, przemykając się między drzewami wązkim wózkiem. Zegarek pokazywał dziewiątą; od popasu w Bołowie znów upłynęło dwie godziny.

— Cóż, Antoni, długo jeszcze?—zapytałem furmana, pewien, że mi odpowie, iż za lasem już zaraz.

— Wiorst piętnaście będzie, pan — odpowiedział z flegmą.

No, dziwne tu wiorsty, myślałem, kiedy miłę trzeba jechać półtorej godziny.

— Czy na południe zajedziemy?

— Ha, może i zajedziemy, pan — zakończył, nie mając widocznie ochoty do rozmowy, nawpół śpiący Antoni. Swoją drogą prosiłem go sam, żeby zwolnił, bo zbite podróżą, wagonem i bryczką, kości bolały mnie na tych rzucających korzeniach okrutnie.

Zresztą droga przez las była w całym znaczeniu tego słowa przyjemną. Chłodno było, zielono, pachnąco, po drzewach roilo się ptakami, cieszącami się, jak ja, tym cudnym rankiem letnim. Inne lasy, które zwiedzałem później, były, przeciwnie, zupełnie martwe i milczące i w żadnym nie widziałem tyle romaitych ptaków, co wtedy. Niestety, nie umiałem czytać w tej wspaniałej księdze przyrody, otwartej szeroko przedemną, i myślałem raz jeden więcej, czy nie użyteczniej byłoby umieć zdawać sobie sprawę z tego, co żyje i otacza nas, niż mieć to poczucie, że dziesięć lat, strawionych w gimnazyum, nie pozostawiło nam nic, oprócz imion autorów, nieżyjących od wieków.

Fauna była tu odmienną, dużo ptaków było mi nieznanym zupełnie. Pierwszy raz widziałem tu dużego dzięcioła czarnego, który w Królestwie należy do rzadkości, a na Litwie spotyka się stosunkowo często. Pytałem Antoniego o nazwiska nieznanym mi ptaków, ale, niestety, niektóre tylko pospolitsze, umiał nazwać i to w gminnym narzeczu.

Z lasu wyjechaliśmy na łąkę, przez którą rzucona była długa grobla. Pomimo, że to była połowa lipca, pomimo, że trawa była na podziw bujna, łąka nie była nawet ściętą. Tą łąką wjechaliśmy znowu na pole piasku, minęliśmy kilka wsi i zaścianków, zamkniętych kołowrotami i bramą—nakoniec dobrze w południe zajechaliśmy przed starym dworem w S.

Na ganku przywitała nas cała zgraja psów gończych i ogarów z takim zajadłym hałasem i naszczekiowaniem, że obawiając się o Black'a i o własne lyd-

ki, nie śmiałem zejść z wózka. Na hałas jednak wyszedł mój kolega, psy odpędził i przywitawszy mnie serdecznie, prowadził do stołu.

Obiad składał się z potraw czysto miejscowych; więc zaczęliśmy od starki, pamiętającej jeszcze dziada gospodarza, którą zagryźliśmy kumpią, w jałowcu wędzoną. Potem szedł chłodnik, kolduny, a skończyliśmy kisielem ze śmietaną. Menu tego obiadu było dowodem uprzejmości ze strony gospodarza, który wiedząc, że kocham się we wszystkim, co charakterystyczną, miejscową nosi cechę, czysto litewskim chciał mię ugościć obiadem...

Po obiedzie, przy kosmopolitycznej kawie i zamorskich likierach, rozmowa zesła na polowanie, jako przedmiot, najwięcej nas w danej chwili zajmujący. Wszyscy jednogłośnie potwierdzili, że zwierzyny dużo, bo legi były dobre i wiosna pomyslna. Mój kolega chciał, żebym odpoczął po podróży jeden dzień, lecz protestowałem przeciwko temu z całej siły, nie chcąc tracić drogiego czasu tem bardziej, że dłużej, niż pięć dni, nie mogłem zostać. Postanowiliśmy zatem jechać tego samego dnia i chodziło tylko o wybór miejsca.

Na radzie wojennej, do której wezwanym został i stary Jan, postanowiono wyprawę do Wodziszek, małego zaścianka, utopionego wśród lasów, odległego od S. o piętnaście wiorst, litewskich naturalnie, co do których nie robiłem sobie złudzeń.

Rozeszliśmy się po obiedzie, ja spać, a moi towarzysze przygotować wszystko na kilkodniowy po-

był w puszczy, gdzie wyżyć potrzeba było zabranymi z domu zapasami, gdyż oprócz wody, drzewa i nie zawsze mleka, dostać nie można było nic. Zabieraliśmy więc samowar, kosz, pełen rozmaitych wędlin, serów, zimnego mięsiva i t. p. i drugi mniejszy koszyk, z którego wyglądały szyjki cześć budzących gąsiorków. Jechał nawet worek z ospą owsianą dla naszej psiarni, strawą, na którą popsuty miejską kuchnią Black godził się dopiero, ostateczną przyciśnięty potrzebą.

Wstałem dobrze z wieczora, wypoczęty i gotów do drogi. Słońce było już nisko, ruszać mieliśmy zaraz. Przed dworem stała już długa, lubiana bryka, wyładowana z czubem, bo przezorny Jan zabierał nawet koce do leśnych noclegów. Dokoła bryki kręciły się miejscowe wyżły, niespokojnie patrząc w oczy Janowi, jakby wyrozumieć chciały, co znaczą te przygotowania i czy one także w nich wezmą udział?

Z trudem usadowiliśmy się we trzech z psami na trzeszczących koszach, nie wiedząc, co robić z nogami, na które już nie było miejsca. Ale najgorzej ruszyć, później już się jedzie i dojeżdża do celu. Początek podróży był oplakany, bo psy nie zrobiwszy wczesnej znajomości, kręciły się i gryzły ustawicznie, deptając nas po nogach. Jechaliśmy ciągle prawie lasem, więc z chwilą, kiedy zmrok zapadł zupełny, bryczka podskakiwała zaczęła po pieńkach, których w ciemności niepodobna było widzieć i wymijać. Nie omyliły mię przeczucia co do długości zapowiedzianych piętnastu wiorst. Podobnie jak z rana, rozciągały się one straszliwie i stra-

cilem w końcu nadzieję, czy wogóle dojedziemy. Swoją drogą nie nudziło mi się, jak rankiem, bo wspomnień mieliśmy wspólnych dużo i rozmowa szła ożywiona. Od czasu do czasu w głuchym borze zaświecił szmat uprawnej ziemi, zaszczeakał z daleka pies na zaścianku i znów ogarniał nas chłodny las. Czasem mijaliśmy mniejsze pólka, wyrąbane w lesie, t. z. „pasiaki“, posiane gryką albo owsem.

Kolo dziesiątej, czy jedenastej, wjechaliśmy na większe pole, na którym z daleka błyszczało światelko pod lasem. Konie parsknęły, czując blizką stajnię, zaszczeakały psy na obcych—byliśmy u celu. Bryczka podskoczyła jeszcze razy kilka na pniakach i wjechaliśmy do zaścianku. Brata szlachcica, na którego gościnność i dach liczyliśmy, nie było w domu, założyliśmy więc obóz pod ścianą lasu, przy szopie z sianem, w której umieszczone były nasze konie. W izbie gorąco było zresztą nie do wytrzymania i roje much. Drzewa nie brakowało, więc buchnął za chwilę napalony przez Jana ogień, a z pękatego kosza poczęły się sypać, jak z rogu obfitości: drób na zimno, wędliny, sery i t. d. Za chwilę samowar był gotów; wychyliwszy więc po tęgim kielichu starki, siedliśmy do kolacyi.

Te wieczery przy ognisku, będąc zarazem dobrze zasłużonym wypoczynkiem po całodziennych trudach, zapisały mi się głęboko w pamięci i pozostaną jednym z najmilszych wspomnień tego krótkiego leśnego życia. Kiedy ogień rozświecił stare jodły, zwieszające brodate gałęzie nad naszymi głowami, wyglą-

dało nasze koczowisko, jak obóz cyganów, albo zbójców z operetki. Pół siedząc, pół leżąc, rozkładaliśmy się z psami dokola ognia, a kiedy minęło pierwsze zmęczenie i głód był zaspokojony, słuchaliśmy w późną noc opowiadań starego Jana.

Naturalnie w takim otoczeniu i towarzystwie nie można było mówić o niczem, jak o polowaniu. Sypały się więc, jak z rękawa, historye i anegdotki. Mnie przypadła mało zaszczytna, ale wygodna rola słuchacza, bo nie śmiałem zabierać głosu tam, gdzie co chwila mówiono o łosiach, rysiach i niedźwiedziach. Nie dawniej jak ostatniej zimy, stary Jan, którego imię powtarzać będę musiał coraz częściej, zabił dwa rysie, otropiwszy je na ponowie i zapędziwszy gończemi na drzewo.

„Pan Jan“ jest to jeden z tych typów, których synowie nasi znać już nie będą, bo giną razem z puszcami i grubym zwierzem, starte kulturą z oblicza ziemi. Syn zaściankowego szlachcica, rodzony syn tych puszczy, które kocha i zna na pamięć. Po ojcu zostało mu kilka włók spuścizny i mały folwarczek. Nie długo jednak cieszył się swym dobytkiem, bo stale przekładał pobyt w lesie nad gospodarkę, a fuzyę częściej miał w ręku, niż pług albo kosę. Żli ludzie twierdzili—ale któż bo nie ma niechętnych!—że do szynku zaglądał pan Jan za często, święcąc w dobranem gronie myśliwskie tryumfy. Słowem, poszła ojcowizna, a Jan wstąpił w służbę do ojca mego kolegi w charakterze trochę strzelca, trochę sługi, a trochę przyjaciela, bo i nieboszczyk namiętym był myśliwym.

Służył stary im wiernie, odbywał ze swym panem dalekie podróże, cierpiał nędzę nawet dla drogiego pana. Kiedy na obczyźnie przyszła choroba, strzegł pana, jak oka w głowie, pochował go, a powróciwszy do starych kątów, nianczył młodego panicza. Stąd stosunek Jana do mego kolegi innym był, niż zwykle sługi do pana. Zresztą był to bywalec, dużo widział, dużo cierpiał, więc odgrywał często rolę mentora wobec młodego dziedzica, któremu często prawdę rznął w oczy. Koniec zimy i wiosnę spędzał Jan pod dachem, przy kominie, bo męczyły go reumatyzmy i w lesie nie było co robić. Nie lubił towarzystwa przeciętnych, pracujących ludzi, zazdroszcząc im może trochę własnego kąta i niezależności. Tęsknił wtedy za swobodą i bywał podobno zręcznym i ospalym. Latem, chcąc coś robić, doglądał niby roboty w polu. Wyglądał przez ten czas przymusowego bezrobocia staro i chodził zgarbiony. Lecz kiedy w lasach pożółkły liście i jesienne mgły zawisły nad rojstem, kiedy młody pan przyjechał z zagranicy na konie uniwersyteckich feryj — stary Jan zmieniał się, jak dotknięty różeczką czarodziejską. Skulony grzbiet prostował się, oko nabierało blasku i budził się dawny „Jaś“, dzielny strzelec, trochę kłusownik, a trochę zawierucha, skory do kieliszka.

Knieja była jego żywiołem, w niej żył dopiero naprawdę. Nikt nie wiedział lepiej, niż on, gdzie może „stać“ łoś, gdzie tokowiska głuszców, gdzie najlepiej ciągną słonki. Od pierwszego wejrzenia zrozumiałem, co może być wartą przyjaźń takiego leśnego wilka

na polowaniu i wszelkimi siłami starałem się pozyskać jego względy. Byłem o tyle szczęśliwym, że udało mi się to w zupełności, a korzystałem oprócz tego z przywilejów gościa, któremu Jan pragnął dobrze przedstawić knieje i litewskie polowania, więc opływałem, jak pączek w maśle.

Prowadził mnie w miejsca, gdzie spotkać można było głuszce, wołał mnie, rozbiwszy stadko cietrzewi, do których strzelaliśmy pojedynczo, wskazywał błotka, na których siadywały dubelty— a wieczorem, kiedy zmęczeni, wynurzeni w błocie, wracaliśmy do koczowiska, ledwie powłócząc nogami, opiekował się mną, jak niańka. Były to chwile, w których stary Jan zdumiewał mnie swą żelazną wytrzymałością. Chodził w ciągu dnia tyle, co inny, a może nawet więcej, nosił sążnistą torbę, wyładowaną zwierzyną, i na wieczór, kiedy mój kolega i ja wyciągaliśmy się bez duszy na sianie, nie mając sił nawet na zmianę bielizny i umycie się, Jan znajdował jeszcze dość energii, żeby rozpalić ogień, nakarmić ludzi i psy, wypatroszyć zwierzynę i urządzić nasze posłania.

Był on istną opatrnością naszej wyprawy. Bez niego groziły nam: niewygoda, głód i zniechęcenie na każdym kroku. On był duszą i sprężyną naszego lesnego życia. On myślał o wszystkim i robił za wszystkich, a załatwiwszy bieżące sprawy, zasiadał obok nas u ogniska, i jeżeli sen nie skleił nam tymczasem oczu, opowiadał dzieje otaczających nas lasów i dawnych polowań. Być może, iż w innych warunkach, w codziennem, zwyczajnem życiu, byłby mi się Jan

wydał trochę kłamcą i próżniakiem, ale tu, zdaleka od wszelkiej kultury, wśród lasów, był on typem nieporównanym, stanowił sam przez się jedną z najciekawszych stron moich wrażeń.

Kiedy po dziennym trudzie zasiedliśmy dookoła ogniska, rzucającego krwawe blaski na bliskie jodły, stare i zgarbione, jakby zdziwione, kto przyszedł klócić ich wiekowy spokój i sen nocny, wtedy stary Jan był w swoim żywiole i zaczynał opowiadać. Czemu dla stepu ukraińskiego lirnik, śpiewający dzieje szlaków i kurhanów, tem był dla kniei litewskiej ten stary, brodaty strzelec. Jak bard, śpiewał nam co wieczór historię tych lasów, tych głębi, w których snuliśmy się, jak banda cyganów, opowiadał ich chwałę i leśne dramaty, które miały miejsce i w których sam czynny brał udział. Nasza gromadka, rozłożona dookoła ognia wśród lasu, przypominała mi sceny z „Wolnego Strzelca“, tylko tu sam byłem aktorem i bawiło mnie to leśne życie i opowiadania nieskończenie więcej, niż najwspanialszy teatr. Nasze gawędy ciągnęły się często w późną noc. Księżyc był w pełni, wschodził późno i często wytaczał się wysoko nad czarny las, a my siedzieliśmy dookoła gasnącego ogniska, zasłuchani w opowiadanie starego myśliwca, i czekaliśmy, aż świt zapędził nas do szopy na siano.

Pierwszego wieczora po przyjeździe do S., Jan wyprawił nas wcześniej spać, bo „i pan z drogi, i jutro do lasu.“

Spaliśmy w szopie na sianie. Szopa była nowo stawiana, brakło jej wrót i połowy dachu. Za to po-

wietrze było ciepłe, łagodne, komarów mało, a siano pachło tak, jak pachnie leśne siano, sucho sprzątnięte.

Z rozkoszą wyciągnąłem zbite podróżą i niewyczasem ciało, na miękkim posłaniu, ale usnąć nie mogłem. Po głowie szumiała mi myśl, że oto jestem w tych litewskich puszczech, do których tak długo tęskniłem, o których tyle myślałem i słyszałem. O parę kroków odemnie szumi oto chłodny, ciemny las, w którym znajduję się za parę godzin. I cietrzewie i głuszcze, które mam ubić, są już także, śpią gdzieś niedaleko odemnie z utulonemi pod skrzydła główkami. Uczulem trochę wyrzutów sumienia na myśl, że je jutro niewinnie mordować będę, że przyjechałem tak daleko jedynie dlatego, żeby zakłócić ich spokój i szczęśliwy leśny żywot. Wszystkie te myśli i obrazy kłębiły mi się jedne przez drugie w głowie i mieszały się z cudownym zapachem siana, upajając mnie, jak haszysz.

Black pomrukując, ułożył mi się w nogach, wzdychając głęboko przed zaśnięciem, bo kolacya z miejscowej osypki nie smakowała mu i był w fatalnym humorze. Mój kolega i Jan chrapali już w kącie szopy, konie chrupały siano, wszystko było cicho, spokojnie i jasno w tę lipcową, miesięczną noc. Przez nieprzykrytą część dachu widziałem kilka gwiazd i białą chmurkę, stojącą nieruchomie na niebie. To było ostatnie wrażenie tego wieczoru i z tym obrazem pod powiekami usnąłem.

Nazajutrz, ledwie pierwsze blaski świtu zarumieniły na wschodzie niebo, byliśmy na nogach. Spać mi

się chciało jeszcze ogromnie, ale widząc, że moi towarzysze już wstali, zerwałem się i ja, i wyszedłem przed naszą szopę zobaczyć, jak wygląda okolica po dniu. Las zaczynał się tuż za szopą, ale nie widać go było jeszcze zupełnie, bo tonął w mgłę i w mroku porannym. Wszystko, co nas otaczało, przesycone było wilgocią; z każdej igły na jodłach wisiała kropla rosy, trawa na ziemi wyglądała, jak posrebrzona, nawet nasze odzienie było wilgotne. W jednej chwili to chłodne, świeże powietrze ranka orzeźwiło mnie i gotów byłem ruszyć choćby zaraz. Na pieńku kipiał już samowar, nastawiony przez Jana, kiedyśmy jeszcze spali. „Będzie pogoda, chwała Bogu—rzekł stary myśliwy—bo mgła idzie w ziemię.“ Pospiesznie piliśmy herbatę, parząc sobie usta, byle tylko czasu nie tracić.

W kwadrans byliśmy gotowi, ubrani, obuwi — i uzbrojeni, ruszyliśmy do lasu, poprzedzani przez skomlące radośnie psy, uszczęśliwione naszym rynsztunkiem i przygotowaniami. Minęliśmy małe, nieskoszone pólko owsa i razem z pierwszymi promieniami ukazującego się słońca, weszliśmy w las. Nie był to nasz pocziwy mazowiecki, albo wiołkopolski lasek, pełen liściastych drzew, zielony, zamieszkały przez świergocące do rannego słońca, ptactwo, wesół i pachnący. Tu widać było tylko siwe i czerwone pnie grubych jodeł, na ziemi mnóstwo łomu, potraconego nogami i kłującego w stopy, a wszystko to porośnięte obfitym, brodatym mchem, zwieszającym się całymi pękami z każdego drzewa.

U nas mech jest skromny, dyskretny, rośnie tylko na północnej stronie drzewa i chroni gospodarza swego od zimna, płacąc w ten sposób za komorne i gościnność. Tu mech jest potężny, panujący nad wszystkim, rośnie na każdej najdrobniejszej gałęzi i odbiera jej żywotne soki, ciągnięte z ziemi. Te brody wiszące smutno ku ziemi, nadają drzewom pozór starości i zgrzybiałości, który uderza od pierwszego wejrzenia. Oprócz tego lasy, które widzieć tam miałem sposobność, są martwe i milczące, bo zupełnie brak w nich drobnych ptaszków, ożywiających nasze lasy. Spotyka się jedynie dzięcioły, pukające o stare, zmurszałe drzewa. Zwierzyny niema zresztą w większych lasach, bo brak podszycia. Jedyńm krzewem, jaki spotkać można, jest lichy, przejrzysty jałowiec.

Po półgodzinnym marszu przez las, zmoczeni obtrząsaną z igieł i mchu rosą, wyszliśmy na miejsca, na których las począł się niższy, rzadszy i jeszcze więcej opanowany przez mech. Stąpaliśmy po miękkim mchu, a nogi zapadały się co chwila w torf, zostawiając w wyciśniętych stopami śladach wodę. Byliśmy na torfniakach, nazywanych tu rojstami.

Dwa są rodzaje rojstów: mokre i suche rojsty. Jedne i drugie tem się odznaczają, że rosną na torfie, który stanowi charakterystyczną ich cechę. Stosownie do tego, czy położenie jest wysokiem i pokład torfu suchym, czy też bagnistym, rojst nazywają suchym lub mokrym. Istnieje jeszcze i trzecia nazwa, bardzo blizka dwóch pierwszych: „mszarnik“.

Mszarnik jest to miejsce zupełnie bagniste, najczęściej kotlina wśród wilgotnego rojstu. Po rojstach można chodzić, na mszarniku śmierć czyha na śmiałka za pierwszym zaraz krokiem, któryby postawił na zielonej, nęcej powierzchni. Mszarnik bowiem, jak twierdził Jan, „nie ma dna“.

Za mego pobytu na Litwie, w jednym z sąsiednich zaścianków wilki wpędziły konia na mszarnik. Zaledwie przednie nogi biednej szkapy dotknęły zwoźniczego gruntu, zapadł się przodem z głową. Ubezważnionego w ten sposób, wilki obgryzły z tyłu do kości. I mój kolega, i doświadczony Jan, zalecali mi więc wielokrotnie, żeby mszarników strzedz się, jak ognia, bo śmierć w nich ezatuje.

Wyraźnych granic między temi miejscami niema i każdy suchy rojst, zniżając się, przechodzi w mokry, w którym znowu najniższe miejsca, jak studnie, stanowią mszarniki.

Chodzenie po rojstach należy do najtrudniejszych, jakie znam, bo w pokładzie miękkiego, grzązkiego torfu leży mnóstwo niezgnitych sęków i gałęzi, które kłują stopy za każdym krokiem. Na powierzchni rosną wysokie trawy, albo wrzos, płaczący się dokoła nóg, lgnących w torfie, a sama powierzchnia nie jest równą, tylko usianą kępami, o które myśliwy potyka się co chwila, rozbijając sobie palce u nóg. Nie wiem, jakie obuwie byłoby najodpowiedniejsze. O długich butach nie może być mowy, bo te, zwłaszcza oblepione torfem, byłyby za ciężkie i, jak mówili miejscowi myśliwi, trzebaby „zostawić nogi“ na pierwszej wiorście.

Angielskie sznurowane trzewiki byłyby odpowiednie, gdyby nie haki, zaczepiające się o trawę i wrzos. Idąc za przykładem mego kolegi, wdziałem litewskie chodaki ze skóry, sznurowane rzemieniami. Okazało się jednak, że i te nie są praktyczne, bo skóra za cienka nie chroni dostatecznie podeszwy, zwłaszcza rozmięknięta. Z początku wydało mi się, że mam skrzydła u nóg, tak łatwo i lekko było mi chodzić. Po godzinnym jednak marszu, czy to wskutek rozmięknienia skóry, czy też moje nogi stały się wrażliwszymi, każdy krok, stawiany na ukrytym w torfie sęku, sprawiał mi ból, a do domu wróciłem z nogami opuchłymi i piekącymi, jak gdybym chodził po świeżo wysypanej szosie. Nauczony doświadczeniem, obułem nazajutrz miejskie kamaszki, ale te zostawały w błocie i wyciągałem z nich nogi. Pozostałem więc nadal przy miejscowych łapciach, zabezpieczając tylko nogi kilku parami skarpetek.

Co się tyczy reszty ubrania, tam, jak i wszędzie, gdzie myśliwy narażony jest na gorąco w dzień, a wilgoć i chłód w nocy, koszula z cienkiej flaneli oddaje niezmierne usługi i jest najwygodniejszym i zarazem najzdrowszym ubraniem. Istnieje powszechnie między myśliwymi przekonanie, że flanela jest latem za gorąca. Jest to stanowczo fałszywe, zwłaszcza, jeżeli wełna jest cienka. Wentylacja, niezbędna dla spoczonego ciała, jest przy flaneli daleko dokładniejszą i łatwiejszą, niż przy płótnie i perkalu, które to tkaniny, raz zmoczone potem, stają się zupełnie nieprzepuszczalnymi dla parującego dalej z ciała potu. Wie-

dzą o tem doskonale Anglicy i Francuzi, ubierający się podczas pobytu w swych podzwrotnikowych koloniach, jedynie we flanelę.

Ale wracam do naszego rannego polowania i do miejsc, w których szukaliśmy łupów.

Otóż, jeżeli chodzenie po mszarnikach grozi śmiercią, nie idzie zatem bynajmniej, żeby chodzenie po rojstach było łatwem i przyjemnem. Tęgo już zmachani, doszliśmy wreszcie do miejsc, na których torfu już nie było, a zaczęły się suche, wysokie zagajniki, rosnące dziko i gęsto, zmieszane z jałowcem. Psy szukały skwapliwie, zacinając się często na starych śladach. Black, przywykły do szukania w otwartych polach, gdzie chodził tak daleko, jak mu się podobało, nie rozumiał, dlaczego trzymam go ciągle przy nodze. Jako pointer, był on psem, zupełnie do polowania w gąszczu nieodpowiednim, bo wietrzył daleko i niknął mi ustawicznie z oczu. Na Litwie najodpowiedniejszą rasą psów są setery, idące chętnie na błoto i bardzo karne. Black zresztą, dzięki ogromnemu doświadczeniu i posłuszeństwu, był mi niezmierną pomocą, tem więcej, że nos miał od miejscowych psów nieskończenie lepszy i raz wpadłszy na świeży trop, już z niego nie schodził.

Pierwszą, wystawioną przez Blacka sztuką była stara cieciorka. Byłem już kapitalnie znudzony i zniechęcony, kiedy spostrzegłem Blacka, wyciągniętego do krzaka jałowca. Serce mi zabiło i w mgnieniu oka byłem tuż przy nim. Nie zdążyłem tchu złapać, kiedy z krzaka podniósł się duży, szary ptak,

szybko machając skrzydłami i silnie łopocąc. Nie uleciał dziesięciu kroków i padł, rażony strzałem.

Popeliłem czyn wielce niemyślny, zabijając samkę. Uszło mi to, jako gościowi. Zresztą byłem nowicjuszem i mimo szczerzej chęci, nie potrafiłbym być rozróżnić ciecioriki od cietrzewia. W duszy myślałem sobie zresztą: „Jeżeli myślicie, że przyjechałem pięćdziesiąt mil i łażę teraz od świtu, zrywając na torfie nogi, żeby widzieć zrywające się ciecioriki i nie strzełać, to się mylicie“. Ostatecznie Jan wpakował mój łup do torby i ruszyliśmy dalej do łąk i moczarów, gdzie spodziewane były głuszce.

Z suchych zagajów zeszliliśmy znowu na mokre łąki, porośnięte gęstą trawą i wikliną, które przechodziły z kolei miejscami w jakieś obeschnięte bagna, na których rosła i trzcina. Miejscowość miała pozór niezmiernie dziki i dziewiczy, a ciągnęła się, jak okiem sięgnąć. Nietylko głuszec, ale łoś, ukazujący się na tem tle, nie byłby mnie zdziwił. Rozciągnęliśmy się szerokim łańcuchem, zajmując dużą przestrzeń łąki.

Chwilami towarzyszy swoich traciłem z oczu, potem znów widziałem ich głowy nad lasem trzciny i wikliny. Szliśmy wolno naprzód tym miarowym krokiem myśliwego, idącego za szukającym wyżłem, który to ruch robi nas podobnymi do bocianów. Środkiem szedł mój kolega, prawego skrzydła bronił stary Jan, lewe ja zajmowałem, hamując nieustannie gorącego Black'a, który odbiegał ciągle za daleko.

Pusto było dokoła. Ani ptaszka, ani motyla, ani nawet komarów nie było w tych miejscach głuchych

i bez życia. Słońce wzbilo się tymczasem wysoko i przygrzewało mocno, bo wiatru nie było. Nad sitowiami trzęsło się powietrze. W końcu ogarniać mnie poczęły nudy i zniechęcenie w tej pustce, gdzie nic, nic się nie ruszało, niczego nie było, na czem można by zatrzymać oko. Wspomniałem polowania w Królestwie, gdzie od siódmej do jedenastej dać można było pięćdziesiąt strzałów. Zacząłem już żałować swej eskapady, dającej przyjemności stanowczo za mało, wobec straszego zmęczenia i trudów, z którymi musieliśmy się łamać.

Naraz, tuż koło mnie, Black zaciął się przed dużym, płaskim, jak plaster pleśni, krzakiem wikliny. Spuścił wzniesioną do góry, łapę, postąpił krok naprzód i znowu stanął, mijając krzak bokiem. Nuda, zmęczenie i zły humor odleciały odemnie na ten widok. Pies stał ciągle, jakby przed nim wznosił się nagle niewidzialny a nieprzebyty mur, przez który nie mógł się przelamać. Czując mnie blisko, zachęcany mem cichem „allons Black, allons“, ruszył dalej tym miękkim, pełzającym krokiem wyżła, czującego zwierzynę w pobliżu.

Cały drżący; nos, grzbiet i ogon w jedną pozioma, wyciągniętą linię, zdawał się płynąć po powierzchni wysokich traw. Łapy podnosił tak wolno, tak ostrożnie, tak miękko stawiał je na ziemi, jak gdyby za każdym krokiem stawiać miał nogę na ostrym koleu. Zdawało się, że w każdym jego ruchu jest za wiele siły, że każdy ruch byłby za duży i za pełny, gdyby nie hamował go całą siłą instynktu, ka-

żącego mu skradać się i pełzać. Cała jego istota była gdzieś w wysokich trawach, w miejscu, które odgađywał jego szlachetny, wytworny nos. Nie tracił silniej żadnej gałązki, nie złamał źdźbła trawy, wijąc się między przeszkodami, jak wąż. Chwilami w gęstej trawie ginęły jego nogi i wówczas zdawało się, że płynie, prując trawę piersiami...

Magnetyczny prąd jakiś, bijący od niego, owładnął i mną. Czulem przez bluzę, jak mi serce skacze w piersiach. W skroniach tętniały mi pulsa i szedłem tuż za nim z palcem na cynglu, cały drżący. Chwilami stawał i zwracał ku mnie wielkie, żółte oczy, szeroko otwarte, jakby upewniając się, że jestem dość blisko. Potem spuszczał wzniesioną łapę i pełznął dalej. Spodziewałem się starego cietrzewia wyleniałego, t. z. „kosacza“, o których mistrzowskiem wyciekaniu nasłuchalem się poprzedniego wieczora. Ale i Black, piechur pierwszej wody, nie zmęczy się, a nos ma taki, że raz na śladzie, już z niego nie zejdzie — myślałem w duchu. Szedłem tedy, jak przykuty do psa, stosując swoje kroki do jego ruchów. Kiedy on stanął, i ja się zatrzymywałem, przestając oddychać, cały w oczach, czekając, rychło zobaczę zwierzynę.

Patrząc przed siebie, widzialem, że o jakie trzydzieści kroków przed nami, wiklina i trawy kończą się, jak nożem obcięte, a zaczyna się goła, równa, jak stół, płaszczyna. Pies tymczasem stawał coraz mocniej, wszywał się, jak igła, w najgęstsze krzaki i kępy, w końcu kładł się na brzuchu, pełzając, jak jaszczurka, i posuwał się tylko, popychany przezemnie gwał-

tem nogą. Plaszczyzną, którą widziałem zdaleka, było wyschnięte jakieś bagno, pokryte niskim mchem, zielonym, jak sukno. Przed ostatnim krzewem wikliny, za którym zaczynało się już miejsce gładkie, stanął Black, jak wryty, i nie chciał się ruszyć, mimo usilnego trącania go nogą i zachęty głosem. Chciałem go minąć i sam wydeptać to, co było w gęstwinie. Ale zaledwie zrobiłem krok przed nos psa, krzak zaszumiał, jakby ożył, i roztrzając z hałasem gałęzie, podniósł się jakiś duży ptak wielkości jęдора, głośno łopocąc skrzydłami. Krótką chwilę słyszałem głośne łop-łop-łop skrzydeł, bezwiednie podniosłem broń do twarzy i wycelowawszy machinalnie w ciemną, ruszającą się przedemną, masę piór, pociągnąłem za cyngiel...

Przez dym wystrzału widziałem, jak ptak spadł kamieniem na ziemię. Rzuciłem się ku niemu, wołając na psa, kiedy z boku rozległo się powtórne łopotanie i drugi ptak podniósł się rzeżko z krzaka. Zmierzyłem się powtórnie, pociągnąłem drugi cyngiel i drugi ptak spuścił się na ziemię. Z radością rzuciłem się do zabitej zwierzyny, nie zważając już na trzecią sztukę, wyrrywającą się za mną, a którą byłbym zabił, gdybym był zachował zimną krew i nabił wystrzeloną broń...

Black rzucił się tarnosić zabite ptaki, a ja stałem, oddychając ciężko, jak ktoś, co z trudnej próby wychodzi szczęśliwie. Nerwy, długo napięte do najwyższego stopnia, wracały zwolna do równowagi; czułem, że mi się ręce trzęsą.

Moje ornitologiczne wiadomości wystarczały, aby poznać, że zabite dwie sztuki, leżące po szczęśliwej dublecie u moich nóg, są głuszcami. Byłem głęboko wzruszony, patrząc na tę wspaniałą zwierzynę, do królewskiej liczoną, której wielu dzielnych myśliwych nie widziało inaczej, jak w gabinetach zoologicznych. Tak wspaniałej dublety nie dałem nigdy w życiu. Black również uszczęśliwiony, obwąchiwał nieznaną mu zwierzynę, machając radośnie ogonem.

Były to przepyszne dwa samce, dobrze już wypierzone, czarniawe, ciężkie, jak jędory, sprzedawane w Warszawie pod nazwą tuczonych. Razem ważyły przeszło piętnaście funtów. Tymczasem ściągnęli się i moi towarzysze, odgadując, że musiało mnie spotkać coś niezwykłego. Nawet Janowi, który zęby zjadł na polowaniach, zaimponowała moja dubleta.

— Ot! kiedy mu dał — odezwał się stary, podnosząc w górę zabitego pierwszym strzałem, głuszca.

Rzeczywiście, ptak strzelany *à bout portant*, był jak rozmiądzony całem nabojem drobnego, cietrzewiego śrótu.

Nie szczędzono nam powinszowań i pochwał, które Black przyjmował obojętnie, jako rzecz, z prawa mu się należąca i z dawna powszednią.

Nie mieliśmy już co robić w lesie, bo dubleta do głuszców nie zawsze się zdarza, zawróciliśmy więc do naszego koczowiska przez tę samą łąkę, która była tryumfu mojego teatrem. Byliśmy zresztą tak, jak i nasze psy, tego zmachani.

Tu miałem sposobność porównać wytrwałość pointerów z wytrwalością psów z długim włosem, z którymi polowali moi towarzysze. Kiedy biedne psiska wlokły się z wywieszonemi językami noga za nogą, Black był niestrudzonym i z całym ogniem przekładał przed nami galopem, przetrząsając łąkę. Zabicie jednak czterech cietrzewi i dubelta przeszło bez wrażenia i więcej gawędząc, niż polując, doszliśmy do naszego obozu zmęczeni, zlani potem i zabłoceni, ale w wybornych humorach i głodni, jak wilki.

Co do mnie, jeść nie mogłem; wypiłbym studnię całą, ale woda była niegodziwa, błotnista i pełna wy-moczków. Bałem się febry, więc poprzestałem na szklance zimnej herbaty, pozostałej od śniadania. Leżeliśmy bez duszy na sianie i rozkoszując się wypoczynkiem, czekaliśmy śniadania, które przyrządził tymczasem żelazny Jan, krzątając się koło naszego zbójeckiego gospodarstwa. Wypatroszył ptaki, zabite rano i napchał im brzuchy pachnącem jakimś ziołem, tymiankiem, zdaje mi się. Miało to powstrzymać psucie się, którego, wobec gorąca, spodziewać należało się szybko.

Nie zawiodło mnie smutne przeczucie. Pomimo, że wyjazd mój nastąpił wcześniej, niż się spodziewałem, głuszców, którymi pochwalić się chciałem przed znajomymi, do Warszawy zabrać nie mogłem, bo pochynały być nieświeże.

Śniadanie jedliśmy, jak wszystkie posiłki, leżąc pokotem dokoła pieńka, na którym zastawiał Jan nasze uczty. Pić, ach, pić chciało mi się piekielnie przez

cały mój pobyt na Litwie, a wody nie było. Za późno przyszedłem do przekonania, że trzeba było zabrać filtr mały, kieszonkowy i proszków burzących. Syfon wody sodowej miałby tam wartość nieocenioną.

Zaspokoiwszy głód, poszliśmy spłacić dług słodkiemu Morfeuszowi. Zmęczenie i sennaś zamykały nam oczy gwałtem, a pachnące siano nęciło nas do siebie nieprzeparcie. Black, jak ja, potrzebujący spoczynku, ułożył się pierwszy na mojem miejscu, uważając je za wspólne, i mnie zostawił tylko wązki brzeg posłania od ściany szopy. Pamiętny jego rannych zasług, nie niepokoiłem go zbyt i wkrótce obadwaj zasnęliśmy słodkim snem, pełnym głuszców i cietrzewi. Usypiając, slyszalem, jak poszczekiwał przez sen, marząc o jakiejś chimerze ze skrzydłami.

Pod szopą było strasznie parno i duszno, czulem przez sen, że mi gorąco i zmora mnie dusi. Obudziłem się wcześniej, była ledwie druga po południu. Moi towarzysze spali jeszcze, psy i konie spały, jakby cała okolica zasiana była snem-trawą. Myślę, że nawet głuszce i cietrzewie spały w okolicznych rojstach, bo lasy wydały mi się więcej jeszcze martwe i milczące, niż rankiem.

Byłem cały zlany potem, wyszedłem więc przed szopę odetchnąć świeżem powietrzem. Psy podniosły głowy, jeden, korzystając z przebudzenia, przeciągnął się, podrapał za uchem i ziewnąwszy, wyciągnął się jak długi. Black niechętnie i mrucząc, powłókl się za mną, uważając widocznie za swój obowiązek nie odstępować mnie w tej obcej krainie.

Cicho i sennie było dokoła. Lasy przesłoniły się niebieską, leciutką mgłą, podnoszącą się z rojstów, a nad bliskim półkiem nieskoszonego owsa trzęsło się powietrze. Miałem dużo czasu przed sobą, bo ruszyć mieliśmy do lasu dopiero o piątej po południu. Dzień był prawdziwie lipcowy, skwarny i pełen słońca jasnego i złocącego wszystko, na co padały jego promienie.

Czekając na swych towarzyszków, zatopionych w głębokim śnie, usiadłem na pieńku w cieniu jodły i zapaliwszy papierosa, zacząłem dumać, patrząc na śpiącą okolicę. Przeniosłem się myślą do Warszawy, żalując wszystkich, co się tam wędzili w rozpalonych murach, pełnych kurzu i cholery. Potem z kolei zacząłem przypominać sobie, gdzie spędzałem inne lata, i w pamięci stanęło mi inne popołudnie letnie w południowej Francji, spędzone na wycieczce w górach. Tak samo świeciło wtedy gorące słońce, tak samo spało wszystko dokoła, tylko świerszcze śpiewały w tysięcznych głosach swą skrzypiącą piosenkę. I wtedy nie mogłem spać, leżałem wyciągnięty, w cieniu skały i patrzałem na wspaniałą panoramę, kąpiącą się w złotem słońcu. Ale wówczas widnokrąg kończył się oceanem, który z góry wyglądał, jak posypany złotem, a daleko, het, na końcu horyzontu, płynęła łódź z białymi żaglami, a płynęła tak wolno, że nie psuła tej ciszy i tego spokoju. Widok był tak piękny, że chyba szatan, kuszący Chrystusa, nie pokazywał piękniejszego. Na pierwszym planie czerniały cienie, rzucane przez potężne skały, u stóp widać było, jak

na dłoni, jakieś białe miasteczko, schowane w zieleni, z której wyglądały tylko czerwone dachy domków i kilka rybackich wiosek, porzuconych, jak gromady kamieni, nad lazurowym morzem, pozłoceniem promieniami słońca. Powietrze było górskie, przejrzyste, w którym przedmioty, nawet bardzo dalekie, rysowały się jasno i wyraźnie, jak na dłoni, a wszystko było małe w tem powietrzu i jasne, jak nowe domki dziecinne, wyjęte z pudełka. Człowiek czuł się tam oderwanym od ziemi i bliższym nieba w tem cudnem powietrzu...

Tu byłem także w samem sercu natury, ale krajobraz był inny. Wszystko było jakieś głębokie, tajemnicze i przesłonięte parą. Widnokrąg był ciasny, ale czuć było duże, ogromne obszary leśnych głębi dokoła. Jeżeli tam w górach czulem w sobie coś niezemskiego prawie, to tu czulem się istotą ziemską, od ludzi daleką, dobrze ukrytą wśród tych puszczy i błót. Z rozkoszą myślałem o tem, jak daleko odsunąłem się od wszystkiego, co jest cywilizacją, miastem i drukiem. Było to właśnie takie życie, o jakim marzyłem, jakim przeżyć chciałem choć dni kilka, skryty w lasach z moim psem i ze strzelbą w ręku.

Żal ścisnął mi serce, kiedy pomyślałem, że kilka takich dni jeszcze i skończy się ta romantyczna włóczega po lasach i rojstach, ta swoboda, te wieczory przy ogniu, i wrócić trzeba będzie do pracy, do miasta i do codziennych, monotonnych trosk o chleb powszedni. Żal mi się zrobiło beczynnimie traconych chwil, poczułem w sobie cały zapas sił, zbieranych

od roku i gotów byłem ruszyć, choćby zaraz, do lasu, byle być w ruchu i używać swobody.

Wróciłem do szopy. Tu spało jeszcze wszystko, nawet konie przestały chrupać siano i stały ze spuszczoneimi łbami, drzemiąc. Było zresztą wcześniej, w pół do czwartej. Przyszło mi z początku do głowy ruszyć samemu, nie czekając na śpiących, ale porzuciłem tę myśl, jako niepraktyczną. Nie znając lasów, mogłem się zablakać i nie znalazłbym zwierzyny w obecnej miejscowości na wielkich obszarach. Z rezygnacją tedy zabrałem się do czyszczenia strzelby i czekałem na swych towarzyszków. Zresztą próba mej cierpliwości niedługo trwała, bo po kwadransie wyszedł mój kolega, zaspany jeszcze, spocony i oblepiony sianem. Po chwili ukazał się i stary Jan, a obadwaj radzili czekać jeszcze, bo cietrzewie w gorąco tkwią ukryte w najgłębszych gąszczach i dopiero z nadejściem chłodu ruszają na żer.

W mgnieniu oka pojawił się nastawiony przez Jana samowar. Gawędząc, piliśmy herbatę i czekaliśmy chłodu, a w godzinę potem zbrojno i wesoło ruszyliśmy na nowe łowy.

O ile rankiem grzeźliśmy w mokrym torfie i miękkim mchu, o tyle po obiedzie polowaliśmy w miejscach przeważnie wysokich, suchych, porośniętych wrzosem i silnie woniejącem „bagnem“, które w miejscowej gwarze „bahunem“ nazywają. Jest to, o ile się nie mylę, *Ledum palustre*, roślina, w medycynie stosowana. W tych samych miejscach często, w najbliższym sąsiedztwie rośnie t. zw. „pijanica“, ro-

ślina, równie jak bagno, silnie pachnąca. Jeśli dzień jest gorący, bez wiatru, zapach bywa tak silny, że pies przestaje węszyć, a myśliwego boli głowa. Nie bez racji więc nazywają jeden z tych krzewów pijanicą. Zapach jej odurza, jak trunek, i głowa ciężyc poczyna.

Długo, długo szliśmy razem, nie nie spotkawszy. Napróžno psy, szukając ochoczo, przetrząsły każdy krzak, każdy zaułek — las pozostawał martwym i pustym. A jednak miejsca były dziwnie ponętne i obiecujące. W Królestwie w takich miejscach trzęsłoby się od zajęcy i sarn, tu była pustka i głusza. Zresztą sama miejscowość nazywała się Głuszą.

Po dwóch godzinach bezowocnej włóczęgi, nudnej i męczącej, jak zawsze polowanie bez zwierzyny, zasiedliśmy pod cienistem drzewem dla odpoczynku. Jan był w złym humorze i wyrzucał memu koledze, że wyszliśmy zawcześnie podczas gorąca, które psom odebrało węch. Uśmiechnąłem się w duszy, wspominając dni, w których, pomimo skwaru, Black znajdował całe tuziny kuropatw, nie opuszczając ani jednej. Ale tam były kuropatwy, a tu nie było, oprócz komarów, nic.

— Łosie tu musiały być w Głuszy? — zapytałem Jana, chcąc go wyciągnąć na opowiadanie.

— Ta, jakże nie? Były. Sam zabiłem jednego na Długim Błocie, jeszcze za nieboszczyka pana. Zimą było. Szedł na sztych, a kiedy ja jemu dał pod róg, to się aż zatoczył, jak pijany, dopiero drugi raz strze-

łał do boku, kula poszła w serce, i padł—odpowiedział z ogniem stary.

Zły humor zniknął na to wspomnienie i coraz to nowe historye posypały się, jak z worka.

Ach, lasy to były, lasy! o których nam bąbał stary myśliwiec. Gdzie położenie wyższe, piaszczyste góry, tam jodły nieba sięgały. Po nizinach kisły rojsty niezgłębione, niezbadane, jak mateczniki Mickiewicza. Zwierza musiała być moc, skoro bito jednego dnia po ośm łośi. Dziś w tych samych miejscach nie mogliśmy znaleźć lichego cietrzewia.

Posiedziawszy godzinę, zasluchani w opowiadania Jana, ruszyliśmy dalej, orzeźwieni wspomnieniem lepszych czasów i pełni nadziei. Jakoż odwróciła się karta, bo ledwie uszliśmy dwieście kroków, psy stanęły. Stały razem do tego samego krzaka jałowcu, z wyciągniętymi, jak strzały, pyskami. Obstąpiliśmy krzak dokola, gotowi do strzału, zachęcając psy do ruszenia naprzód. Jakoż młoda suka mego kolegi, prawdziwe „*enfant gaté*“, nie wytrzymała i rzuciła się ogniście do krzaka, wyprzedzając oburzonego takim zachowaniem, Blacka, który jeszcze silniej przycisnął się do ziemi, widząc namiętny ruch swej towarzyski.

Z pod samego nosa suki wyrwał się stary cietrzew, wznosząc się w górę pionowo, jak świeca. Był tak blisko jej nosa, że skoczyła w górę i kłapnęła zębami, chcąc go przytrzymać. Wszystko razem nie trwało sekundy; padły najprzód trzy gorączkowe strzały, potem znów trzy, i cietrzew, szybko machając

skrzydłami, nietknięty poleciał do lasu. Strzelaliśmy, jeden ubiegając drugiego, i, jak się zwykle dzieje w tych warunkach, spudłowaliśmy wszyscy niemiłosiernie, spiesząc się zbyt. Zresztą wypadek ten nie bardzo nas zmartwił, bo niepowodzenie dzieliło się na trzy równe części, więc znieść je było łatwiej.

Śmiejąc się, rozeszliśmy się i zajęliśmy las szerzej. W chwilę potem widziałem, jak Jan zatrzymał się, a z przed niego poderwało się stadko sporych, szarych ptaków. Mgnienie oka widziałem ptaki, zawieszony przed nim w powietrzu; stary podniósł broń i z końca luf dmuchnęły dwa obłoczki niebieskawego dymu. Dwa ptaki, jak dwa kłębki szarej wełny, upadły na ziemię, odłączywszy się od reszty gromadki, która poleciała w tę stronę, co i pierwszy cietrzew. Straciłem je z oczu dopiero daleko na tle lasu, zasłaniającego widnokrąg.

Zaczynało się widocznie powodzenie, bo i Black złamał się w pełnym biegu i zgięty w pół, stanął na obszernym wrzosowisku. Ze sposobu, w jaki stanął, z jego miny poznałem, że zwierzyzna siedzi tuż przed jego nosem. Był to stary, wspaniały samiec cietrzew, kosacz. Zerwał się, jak pierwszy, wzlatując pionowo w górę i gdacząc głośno. Ogon roztoczył, jak lirę, a błyszczał cały w słońcu, jak stalowy. Strzał był idealnie łatwy, jak zresztą zawsze do cietrzewi, jeśli nie przeszkadza gąszcz leśny.

Z prawdziwym zachwytem przypatrywałem się pięknemu ptakowi, przyniesionemu przez Black'a. Jeżeli głązecz jest rzadszym, trudniejszym do zdobycia

i więcej pożądanym przez myśliwych, to cietrzew jest nieskończenie piękniejszym pod względem upierzenia i kształtów. Zabity przezemnie kosacz, nie był tak pięknie upierzony, jak cietrzewie, bite na tokowisku, ale pomimo to był pięknym w całym znaczeniu tego słowa ptakiem. Grzbiet i szyja granatowo stalowego koloru, jak w pancerzu zakute, pióra w ogonie zawinięte w obwarzanki, a nad oczami, jak brwi półksiężycy purpurowe. Musiał być starym, sądząc, po nogach, opatrzonych w twarde, jasne pazurki i grzebień rogowy między palcami.

Miałem przez chwilę wyrzuty sumienia, patrząc na przepysznego ptaka, niewinnie zamordowanego. Zył sobie szczęśliwie w swych rodzinnych puszczech, których był ozdobą, które napelniał wiosną, życiem i grą miłosną, a oto zjawił się z dalekich stron prawdziwy najeźdźca i zabrał mu niesprawiedliwie jedyny jego skarb — życie... Black nie podzielał tych sentymentalnych zapamiętań i niecierpliwie zaglądał mi w oczy, pytając, dlaczego tracimy czas na próżno, skoro tak dobrze idzie. Przytroczyłem więc cietrzewia i ruszyliśmy dalej.

Ale czas mijał, a spotkać nie mogliśmy nic, pomimo usilnego szukania Blacka. Zaczynałem być zmęczonym, kości mnie bolały, a ładownica z przytroczo- nym cietrzewiem pilowała mi ciało okrutnie. Fuzya, która rano wydawała mi się lekką, teraz obrywała mi ręce, jakby centnar ważyła. Nauczony rannem doświadczeniem, patronów zabrałem tylko dwadzieścia, przekonawszy się, że na Litwie nie strzela się tyle co u nas do kuropatw, a pomimo to wydawało mi się,

że objuczony jestem jak wielbłąd. Zresztą moi towarzysze nie byli szczęśliwsi, bo strzałów nie było slychać i lasy były głucho i martwe.

Do wieczora było jeszcze daleko i nadziei nie należało tracić. Swoją drogą o zabiciu więcej cietrzewi myślałem z pewnym strachem, bo ten, którego już nosiłem, utrudniał mi niezmiernie ruchy, coby było, gdyby zamiast jednego wisiało mi u torby osm. Minawszy wysoki grzbiet, na którym z pomiędzy wrzosu polyskiwał żółty piasek, zaczęliśmy iść po obszernej równinie, pokrytej suchym mchem i wrzosem, z pomiędzy którego wyglądały spróchniałe pieńki po dawno widocznie wyciętym lesie. Nie spodziewałem się tam wielkich rzeczy, bo okolica miała wygląd nagi i pusty. Mój kolega i Jan byli niedaleko, skręciłem więc ku nim, chcąc w wypalonym wspólnie papierosie, poszukać pociechy. Z miłym zdziwieniem dostrzegłem, że psy ich „mają coś“. Przyspieszyłem więc kroku i wkrótce zrównałem się z nimi, idąc za psami.

Black, posiadający nos nieskończenie lepszy od miejscowych, niewyraźnej rasy seterów, wyszedł odrazu na czoło i niosąc wysoko głowę, poprowadził czworonogą trójkę. Nie potrzebowaliśmy iść zbyt daleko, bo na nieznacznej górze, porosłej gęsto wrzosem i jałowcem, psy stanęły. Pamiętając, do czego prowadzą strzały, dawane wspólnie, trzymałem się umyślnie na uboczu, nie chcąc strzelać razem z drugimi.

Mój kolega był najbliżej psów, podszedł więc do nich najpierwszy. Jak stado rakiet, wypuszczonych jednocześnie, zerwała się gromada jasnych ptaków,

głośno furkocząc skrzydłami i krzycząc zapamiętałe. Pardwy! przeleciało mi przez głowę i zmierzyłem pośpiesznie do lecącego ukośnie ptaka, który na tle nieba wydał mi się zupełnie białym w świetle zachodzącego słońca. Widziałem, że ptak spadł równo ze strzałem, więc nie odejmując broni od ramienia, zmierzyłem do drugiego, który nawinął mi się przed lufami. Strzeliłem dość daleko, ale równie szczęśliwie, jak do pierwszego, i druga jasna plamka znikła z modrego nieba, spadając we wrzosi.

Pobieglem do leżącej pardwy, która trzepotała jeszcze skrzydłami, a drugą tymczasem aportował mój pies, radośnie machając ogonem. Moi towarzysze mniej byli szczęśliwi, bo dostała im się jedna tylko sztuka i to sporna. Byłem prawie równie zadowolonym, jak zrana po zabiciu głuszców.

Pardwa, mieszkanka północy *par excellence*, intrygowała mnie zawsze niezmiernie i rad się z nią spotykałem. Nie wiem, dlaczego strzał do tej zwierzyny uważanym jest na Litwie za bardzo trudny. Co do mnie, pominawszy, że do pardw strzelać trzeba czasami w gąszczu, między drzewami, nie uważam strzału do pardwy za trudniejszy, niż do kuropatwy.

Rozbite przez nas stadko, liczyło, jak twierdził Jan, do piętnastu sztuk: liczba wcale u pardw nie nadzwyczajna. Ponieważ zabiliśmy starego samca, odznaczającego się od młodych czarnem podgardlem, więc była nadzieja, że dostaniemy, ich więcej, pozbawionych troskliwości i ojcowskiej opieki. Z obyczajów pardwa zbliża się daleko więcej do kuropatwy, niż

do sąsiada swego cietrzewia. Podobnie jak kuropatwa, jest jednożenną i równie jak ta ostatnia, troskliwie zajmuje się liczną rodziną, której nie opuszcza, dopóki młode nie wyrosną zupełnie i nie utworzą własnego ogniska i gospodarstwa.

Lecz nie jest moim zamiarem opisywać ptaki szczegółowo. Po znakomitych opisach Taczanowskiego, byłoby to zuchwalstwem. Oddałem swoje młode pardwy Janowi, noszącemu sążnistą torbę siatkową, mieszczącą w razie potrzeby całe tuziny ptaków, i ruszyliśmy łańcuchem na poszukiwanie reszty stadka. Tym razem Dyana wyraźnie odwróciła odemnie wdzięczne swe oblicze, bo mimo szerokiego szukania Blacka, nie znaleźć nie mogłem. A jednak pardwy były, bo słyszałem rozlegające się peryodycznie, strzały mych towarzyszy.

Nareszcie po długim, długim chodzeniu pies stanął do rozłożystego krzaka jałowca, ścielącego się płasko po ziemi i bardzo gęstego.

Była to naturalna forteca, do której nie łatwo się było dostać. Napróżno Black zachodził z różnych stron, usiłując się wcisnąć do środka; splecione i najeżone ostremi igłami gałęzie, kłuły go w nos, i cofał się, sprobowałszy, wreszcie znudzony denenerwującym oczekiwaniem, wszedłem do krzaka sam, chcąc wydeptać upartego gościa.

Ledwie dobrze stanąłem na nogach w kolczastym kobiercu, kiedy za moimi plecami wyrwała się z głośnym furkotaniem i krzykiem pardwa, a za nią druga. Obrócić się nie mogłem, bo byłem literalnie oplota-

ny w jałowiec, sięgający mi do kolan. Wykręciłem się więc tylko połową ciała i, stojąc w najniewygodniejszej pozycji, strzeliłem i chybiłem z obu luf.

Przeklinając jałowiec, wygramoliłem się z krzaka i, nabwszy broń, zacząłem przetrząsać gorliwie bliskie krzaki i wrzosa, spodziewając się więcej pardw w pobliżu. Jakoż o pięćdziesiąt kroków od fatalnego miejsca siedziała i trzecia, którą zabiłem, bo poderwała się blisko i wygodnie. Dalsze poszukiwania pozostały bezowocnymi — krzaki były puste. Po ruchach psa miarkowałem, że w pobliżu niema nic więcej i że wszelkie dalsze szukanie byłoby próżnem. Czulem straszne zmęczenie, nogi mnie paliły, jak gdybym stapał po rozżarzonych węglach, chciałem więc odpocząć trochę i poleżeć, czekając na towarzyszy. Odpiąłem ładownicę i wyciągnąłem się, jak długi, na miękkim mchu.

Wiedziałem, że braknie mi czasu wypocząć zupełnie i to, że wstając, będę więcej jeszcze zmęczony, ale nie mogłem pomimo to oprzeć się pokusie wyciągnięcia zmęczonych upałem i ruchem członków. Zapaliłem papierosa i założywszy ręce pod głowę, leżałem na wznak, lubując się odpoczynkiem i wpatrując się bezmyślnie w przeciągające mi nad głową białe obłoczki. Ze strachem odpędzałem od siebie myśl, że od naszego obozu dzielą nas jeszcze dobre trzy wiorsty, które trzeba będzie zrobić, zanim wolno mi będzie naprawdę odpocząć.

Cóż to za różnica z polowaniem w Królestwie, gdzie w podobnych chwilach miałem na zawołanie

bryczkę, którą w kwadrans można było stanąć w domu, gdzie czekało wyborne łóżko i gorąca herbata! Tu liczyć mogłem jedynie na swoje siły i spodziewać się, że opuchnięte nogi doniosą mnie do szopy, gdzie znajdę swoje posłanie z siana i kieliszek wódki.

Silna to musi być namiętność, którą okupywać trzeba takim trudem i wysiłkami, a która przecież budzi się zawsze świeża i nieugaszona. Sądzić jej, jak wszelkich ludzkich słabości, miarą zdrowego rozsądku niepodobna. Inaczej, w jakimże świetle przedstawilby się myśliwy, który w zimny, mglisty dzień rzuca wygodny fotel i ciepły kominek po to, żeby, brodząc dzień cały po błotach i bagnach, gdzie zdrowie zawsze, a czasami życie narażać trzeba, zabić parę kaczek albo bekasów, których wartość nie oplaca nawet wystrzelanej amunicji. Zamiast spodziewanych łupów, myśliwy przynosi nieraz reumatyzm i zapalenie płuc, wieczorem wraca bez duszy od zmęczenia, a jednak nazajutrz gotów znowu rozpocząć pełen nowych sił i nigdy niegasnącej nadziei, bo zawsze pcha go naprzód ta sama, wiecznie gorąca żądza wrażeń i przestrzeni.

Każdy z nas nosi w sobie ukrytą, mniej lub więcej głęboką chętkę nadzwyczajnych wrażeń i przygód. Czy to jest zabytek stanu pierwotnego, z czasów, w których życie zdobywać trzeba było w bezpośredniej walce z naturą, tlejący, jak iskra, stłumiona popiołem cywilizacji — czy też naturalny zwrot ludzkości ku warunkom prostszym i zdrowszym, jakie znaleźć można jedynie w zetknięciu z przyrodą? Nie

wiem! Dość, że każdy, najwięcej nawet zniewieściału człowiek, czuje potrzebę odpoczynku na łonie tej pierwszej matki — natury. Ludzkość spostrzegła się, bodaj czy nie zapóźno, że zadługo zaniedbywano ciało, duszę jedynie pielęgnując, i spieszy teraz gorączkowo naprawić błąd, który odbijać się począł srodze na naszym rozwoju fizycznym i na naszym zdrowiu. Pierwsza ruszyła w tym kierunku, cywilizowana Anglia; za nią rwały więzy rutyny Francya, Niemcy i t. d. I odtąd mnożą się po szerokim świecie kluby i stowarzyszenia, rozwój sił i ciała mające na celu.

Wybrani tego świata podróżują po dalekich krajach, żeglują po morzu i pną się po górach; mniej szczęśliwi wiosłują i gimnastykują się, byle wyprostować zakrzepłe członki i zaczerpnąć świeżego powietrza opleśniałemi płucami. Powodzenie, jakiego doznaje wszędzie demokratyczny rower, najdobitniej wykazuje potrzeby cywilizowanego świata. Z zapalem przyjęto nowego gościa i ludzkość zgarbiona, połamana i niezgrabna, przebiera nogami, szukając ruchu i przestrzeni. Niezaprzeczenie gra tu znaczną rolę moda i chęć naśladownictwa, ale niezmiernie uznanie, jakim cieszy się kołowy sport, dowodzi, że potrzebnym był tani, łatwy sposób zbliżenia się do natury i powietrza, sposób codzienny i przystępny dla każdego. Nikt chyba, znając stosunki, w jakich żyć, trzeba w wielkich miastach, nie zaprzeczy prawdziwości tych słów, ani wielkiego znaczenia, jakie mają w naszym wieku wszelkie ćwiczenia cielesne i sporty. Bądź co bądź, są one tylko bodźcem do emulacyi

i zachętą, bo samą treścią jest potrzeba zdrowia i sił, które znaleźć można tylko w bezpośredniem a częstem przestawianiu z przyrodą. Tam powietrze, tam słońce, tam sen i zdrowie!

Najdawniejszym, najwięcej rozpowszechnionym i lubionym sportem było po wszystkie czasy, aż w najgłębsze, przedhistoryczne sięgając, myślistwo. Jaskiniowy nasz przodek jadł mięso i odziewał się skórą zabitych przez siebie zwierząt. Starożytni czcili polowanie w osobie jednej z najnadobniejszych bogiń, Dyany, przyznając jej najcenniejsze przymioty, wdzięk i siłę. Wreszcie chrześcijaństwo wyróżniło łowiectwo, oddając je pod opiekę wyłączną jednego ze świętych, naszego patrona, św. Huberta. Mijały wieki, zmieniały się pokolenia i obyczaje, a ludzie polowali, zawsze stawiając łowiectwo w rzędzie najprzedniejszych rozrywek, właściwych nawet królom i stanowi rycerskiemu.

Dzisiaj, choć zmieniły się czasy, choć wytrzebiono lasy i wytępiono grubszą, szlachetniejszą zwierzynę, za którą uganiali się nasi ojcowie, polowanie nie przestaje kwitnąć i po dawnemu biją żywiej serca na trąbkę w kniei albo na widok ściągającego legawca.

Od każdego sportu wymagamy wogóle ruchu i pewnej ilości wrażeń. Sport, w którym ruch jest jednostajnym, a ilość wrażeń odbieranych nieznaczną, jest sportem monotonnym i nudnym. Odwrotnie, różnaitość dokonywanych ruchów i duża ilość wrażeń robią sport zajmującym i zabawnym. Niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się pod tym względem my-

ślistwu. Rozmaitość terenu, po którym myśliwy szuka zwierzyny, zmienność pogody, coraz to inne krajobrazy — oto pierwsze przyczyny, dla których polowanie nie bywa nigdy nudnem. Co się tyczy wrażeń, to niezmierna ich ilość, następujących szybko jedno po drugim, coraz nowych i przykuwających całą uwagę, stanowi właśnie główny powab polowania. W kniei i na polu żyjemy prędeej, goręcej; wszystkie nasze władze umysłowe i fizyczne równocześnie wchodzą w działanie. Myśl, uwaga, wszystkie zmysły działają razem, zaostrzone tą samą namiętnością, która nas pcha naprzód przez bagna i zarośla, niepomych na trud, a często na niebezpieczeństwa. I dziwna, niezrozumiała rzecz! Właśnie te trudy i niebezpieczeństwa stanowią jeden z głównych uroków, najsilniejszą zachętę polowania.

Znaną jest powszechnie namiętność, z jaką polują górale na kozice; ojciec, podarty w kawały w przepaści, albo zasypany na wieki lawiną, zostawia ją w spuściznie synowi, który rusza w góry, niebaczny na niebezpieczeństwa, czyhające na każdym kroku w postaci zawrotu głowy na karkołomnej ścieżce, śnieżyc, huczących na stokach, albo kuli strażnika. Ginie i syn pod godłem pięknej Dyany, a wnuk prowadzi dalej zgubne rzemiosło...

Tak rozmyślałem na miękim mchu litewskiego rojstu i nie zważałem, że słońce schowało się za bory i na ziemię, rozgrzaną dziennym upałem, zapadać począł chłodny wieczór. Myśl, że trzeba się będzie podnieść i chodzić, odpędzałem od siebie, jak natręt-

nego komara. Przewróciłem się tylko na bok, wpatrując się w ciemne lasy na widnokręgu, tonące w półcieniu wieczornej godziny, i podparłszy głowę na rękę, myślałem ze zdziwieniem prawie, że na tym samym świecie, na którym jest ta cisza, są gdzieś dalej za lasami i bagnami wielkie miasta z ich tramwajami i elektrycznością; fabryki, zatruwające ludzi dymem i węglem. Sam sobie wydałem się innym człowiekiem w tem otoczeniu ciszy i spokoju. W głowie czułem tę słodką bezwładność, jaka opanowuje człowieka po silnych wstrząśnieniach nerwowych i po zmęczeniu fizycznym.

Zdaleka, jakby z pod ziemi, doleciało mnie gluche „Hop-hoop!“ starego Jana. Rozbudziłem się z zamyslenia i, nie chcąc narażać poczciwego starego na próżne wołanie, odkrzyknąłem z całych płuc.

Po dziesięciu minutach nawoływania zobaczyłem ich, jak wlekli się przez rojst, nogi ledwie pociągając. Byli obadwaj w najgorszym humorze, bo trafili na resztę rozbitego stada pardw i strzeliwszy kilkanaście razy, zabili jedną tylko sztukę. Widząc, jak są pomeżeni, zaproponowałem krótki spoczynek. Doświadczony jednak Jan, oparł się temu stanowczo, nie chcąc czekać nocy, bo do naszego obozu było daleko, przeszło dwie wiorsty drogi przez rojst, po którym i we dnie nie łatwo było chodzić.

Zaczął się więc odwrót, gęsiego za Janem, otwierającym pochód. Był to chyba najfatalniejszy kawał drogi, jaki zrobiłem w życiu.

Jeśli rojst za dnia jest terenem niewygodnym i trudnym, to w nocy wydał mi się on istnem piekłem. Co chwila potykałem się o leżące w mchu sęki i gałęzie, rozbijając obrzękle i zbolale nogi. To nieustanne chwytanie uciekającej równowagi, utrudnione jeszcze grzązkim torfem, po którym prowadziła ta dantejska droga, było nad moje siły i wstyd tylko wstrzymywał mnie od kategorycznego oświadczenia mym towarzyszom, że wolę nocować w lesie, niż wracać po takiej drodze do domu.

W duszy przeklinałem chwilę, w której przyjechałem na te wertepy, zabite rano głuszcze, całą Litwę z jej rojstami, a nadewszystko moje pardwy, kołyszące mi się u pasa i tłukące mi nogi. Kiedy szliśmy przez jakąś polankę, przed samym nosem miął mi ptak; nie sięgnąłem nawet po fuzyę, bo brakło mi energii do wykonania tego ruchu.

— To nocnica — objaśnił Jan (lelek, kozodój).

Kozodój odprowadził nas ze sto kroków, migając przed nami w prawo i w lewo, jakby się chciał przypatrzeć, co to za milczące postacie budzą śpiącą puszcę.

Z suchego rojstu spuściliśmy się za Janem, który prowadził nas na przelaj, w mokre grzęzawiska. Jeżeli pochód po rojście był już okropnym, to tu droga zaczynała się niedoopisania. Noc zrobiła się już zupełna, ciemna, choć oko wykół, zarośla stały się jeszcze gęstszemi i czarniejszemi. Pod nogami czułem ustawicznie wodę, ciepłą od dziennego upału. Na bagnie rosły jakieś kępy, o które zawadzałem co krok noga-

mi, zapadając się między kępami po kolana. I tu, jak w rojście, nie brakło gnijących złomów, kaleczących stopy. Czasami stawiałem nogę na jakiś zgniły pień, który zapadał się pod mym ciężarem, więząc mi nogę. Powietrze przytem było tak parne i duszne, że oddychać było trudno i literalnie pływałem w pocie.

Nie wiem, jak długo trwała ta droga, bo w końcu nie byłem w stanie nawet myśleć, i dobywałem resztki sił na wyciągnięcie nóg z błota, po którym stąpałem. Zawieszzone u pasa ptaki, kręciły się na trokach, jak żywe, kołysząc się i podskakując za każdym moim ruchem. I to utrudniało mi pochód niezmiernie. Z pomiędzy wszystkich wrażeń, odebranych w ciągu mego pobytu na Litwie, ten nocny powrót zapisał mi się najgłębiej w pamięci; nie zapomnę go, póki życia.

Wreszcie po jakiejś godzinie, czy dwóch takiej męczarni, zaczerniała przed nami szopa z sianem; byliśmy u celu. Resztką sił dowlokłem się do siana i odpiąwszy pas mej ładownicy, rzuciłem się, jak martwy, ani pomyślawszy nawet o zmianie odzienia i o posiłku. Usypiając, czułem, jak pocziwy, nieoczekiwany Jan rozsznurowywał mi łapcie i nakrywał kocem.

Upadł tej nocy tęgi deszcz; przez niedokończoną połowę dachu lały się na mnie strumienie wody, a pomimo to spałem, jak kamień, i nie obudziłem się aż rano, zmoknięty, jak kura.

Była to, jak przyznawał sam Jan, niezwykła eskapada nawet dla niego, który przez długi swój wiek

nieraz wracał nocą, zmęczony całodziennem polowaniem.

Obudziłem się dość późno cały zmoknięty i drżący od zimna. Za szopą palił się rozniecony, duży ogień, przy którym towarzysze mej wczorajszej niedoli suszyli odzienie i gotowali herbatę. Miałem na szczęście suchą, welnianą koszulę, którą przywdziałem, zrzuciwszy czempredziej mokre szaty. Bolały mnie wszystkie kości, nie mogłem rozprostować skostniałych członków, ale czułem się wogóle dość dziarskim i wypoczętym po wczorajszej przeprawie. Zasiadłem przy ogniu w kuczki i popijałem gorącą herbatę, lubując się ciepłem, bijącym od płonącego stosu.

Życie zaczynało w nas wstępować i miny po wczorajszem znużeniu i nocnym prysznicu mieliśmy niezłe. Upłynęły dwie godziny, zanim wyschło nasze odzienie, rozwieszone nad ogniem; na cietrzewie było już tego ranka zapóźno. Obiecywał nam za to Jan dubelty niedaleko, na które też ruszyliśmy, nie chcąc tracić drogiego czasu.

Słońce już było wysoko i tylko na głębokim lesie znać było ślady wczorajszego deszczu. Błoto, na które prowadził nas stary sługa, zaczynało się o dwieście kroków od naszej szopy; iść więc nie potrzebowaliśmy daleko i założywszy patrony z bekasim śrótem, zaczęliśmy polowanie. Zaraz na początku łąki wpadłem w jakąś głęboką dziurę, z której ledwie mogłem się wygrzebać, zabłocony do pasa. Niebezpieczeństwa nie było, ale błoto było jakieś dziwnie lep-

kie i tłuste tak, że obsychając, utworzyło pancerz, który mocno utrudniał mi ruchy.

Miejscowość była zupełnie dziewicza, pusta i głucha. Oprócz myśliwych nie chodził tam chyba nikt; trawy nie cięto, bo była dzika i kwaśna, pomieszana z sitowiem i tatarakiem; grzyby nie rosły, więc i okoliczni włościanie nie mieli tam po co chodzić. Nawet bydło nie utrzymałoby się na grzązkiej i trzęsącej powierzchni. Miejscami trzciny były gęste, jak las, a sitowia dorastały długością człowieka. Po bagnie, wogóle niskiem i grząskim, rozsypane były, jak wysępki, małe, piaszczyste pagórki, pokryte karłowatą brzozą i wrzosem.

Krajobraz był tak dziki, że chwilami zdawało mi się niepodobnem, żeby te miejsca leżały w Europie, tak bardzo odpowiadały obrazom, w jakich przedstawiały mi się indyjskie dżungle, albo pampasy Ameryki.

Zwierzyny, oprócz kilku kszyków, które zerwały się poza obrębem strzału, nie było. Na dubelty było widocznie jeszcze zawcześnie. Łąka ciągnęła się wąskim pasem między dwiema ścianami lasu, szeroka może na wiorstę. Widząc, że na łące nic niema, zwróciłem się ku bliższemu lasowi, chcąc użyć przynajmniej cienia, a może upolować jakiego rzadszego ptaka. Jakoż ledwie zbliżyłem się do zarośli i począłem iść wzdłuż ciągnącej się ściany boru, kiedy z nad drzew na dwadzieścia kroków wyleciał spokojnie i pozwoli jakiś wielki, czarny ptak, duży, jak czapla, i podobny do niej z ruchów. Ponieważ szedłem tuż pod drzewami, nie zauważył mnie i wymierzyć mogłem

spokojnie. W chwili, kiedy pociągnąłem za cyngiel, zobaczyłem, że ptak ma wiśniowe nogi. Po strzale obsunął się miękko, ukośnie na ziemię i upadł powoli, jak liść z drzewa, z rozpostartymi szeroko skrzydłami. Oglądając go zblizka, domyśliłem się, że mam przed sobą czarnego bociana.

Niepodobna się było omylić, bo pominąwszy upierzenie, podobny był z postawy do białego, pospolitego Maćka zupełnie. Zresztą i miejscowość wskazywała, że to może być czarny bocian, który jest mieszkańcem puszczy *par excellence*. Dziób i nogi ciemnowiśniowe, pierze białe na piersi i brzuchu, przechodzące na grzbiecie w czarny, aż stalowy kolor, robią z niego pięknego ptaka, w całym znaczeniu tego słowa.

Byłem uszczęśliwiony moim łupem, ale na razie rzeczywiście nie wiedziałem, co z nim począć. Chcąc go kazać wypchać, nie mogłem go troczyć do ładownicy, bo to pogniotłoby mu pióra; nieść go zaś w ręku, znaczyło to zrenonsować z dalszego polowania. Ułożyłem go więc na poprzecznych gałęziach jodły i zapamiętawszy dobrze położenie i miejscowość, żeby do nich trafić, ruszyłem dalej, trzymając się ciągle brzegu lasu.

Widocznie nadobna Dyana łaskawem na mnie patrzyła okiem, bo nie uszedłem dwustu kroków, kiedy zobaczyłem psa, stojącego pośród drobnych krzaków na brzegu łąki. To już nie bocian, bo widziałbym go zdaleka, ale co to być może? — myślałem, spiesząc z bijącym sercem do wyciągniętego, jak struna, Black'a. Ptak musiał siedzieć twardo, bo pies trzymał nos spu-

szczony prawie pionowo ku ziemi. Trafiłem go lekko nogą, budząc go z zachwytu, i pies rzucił się naprzód łapami, jakgdyby chciał nakryć uciekającą mysz. Zaszumiało w trawie, załopotalo i z pod samego nosa psa wyrwał się stary, zleniały cietrzew, wzlatując w górę, jak świeca. Black sunął za nim w górę, ale go już nie dosięgnął. Nie mogłem chybić, mając ptaka na 10 kroków na czystym miejscu. Spadł, jak kamień, pomimo, że śrót miałem drobny, bekasi.

Nie był to cietrzew tak piękny, jak kosacze na tokowisku, ale wypierzony już był zupełnie, z wygiętymi w lirę piórami w ogonie. Nad oczami, jak dwie smugi krwi, czerwieniły się korale w formie półksiężyca. Ucieszył mnie ten strzał więcej, niż zabicie pół tuzina młodych cietrzewi, bo wolę zawsze jedną a dobrą sztukę, do której strzał długo pozostaje w pamięci.

Przytroczyłem swój łup do ładownicy i nabijałem wystrzeloną lufę, kiedy zobaczyłem podchodzącego mego towarzysza. Słyszac strzały, przypuszczał, że trafiłem na stadko cietrzewi, i przychodził brać udział w poszukiwaniu. Znalazło się zresztą niedaleko i stadko, z którego zabiliśmy pięć sztuk młodych, ale zupełnie już wypierzonych ciecieruków, t. zw. „farbowików“.

Dwa zabiliśmy siedzące na drzewie; nietylko nie uciekały, widząc nas stojących pod drzewem, ale przypatrywały nam się ciekawie, przekręcając główki, zupełnie jak młode indyki, kiedy posiadają wieczorem na gałęzi. Była to istna rzeź niewiniątek.

Wyszedszy z lasu na łąkę, spotkaliśmy Jana, idącego ku nam w towarzystwie jakiegoś drugiego myśliwca, którego mój kolega znał już dawniej i pozdrowił, jako strażnika sąsiednich lasów.

Jan, choć był sam przez się typem nieporównanym, zgasł przy nowym naszym kompanie, tak, jak gaśnie ranny miesiąc w promieniach wschodzącego słońca, Od stóp, obutych w skórzane łapcie, ogromnych i płaskich, jakby stworzonych do chodzenia po grząskich rojstach, aż do głowy, nakrytej, mimo lipcowego skwaru, futrzaną kapuzą, ciągnęło się długie, kościste ciało, odziane w szary samodział z miejscowych owiec. Żadna żywsza barwa nie cieszyła oka w tej postaci, podobnej do suchego pnia drzewa. Stworzonym wydał mi się ten syn lasów do przemýkania się niepostrzeżonym przez puszcze; miał nawet w sobie dużo podobieństwa do sióstr swych, jodeł, od których mało co był niższy. Rynsztunek myśliwski tego litewskiego Don-Kiszota składał się ze strzelby, przerobionej ze starego karabina, za długiej, jak jej właściciel, i ze starej torby borsuczej o wytartym włosie i czarnej od nalepionego całemi wiekami brudu.

Znajomość okazała się niezmiernie drogocenną, bo leśnik poprowadził nas w miejsca, gdzie nie strzelano w tym roku cietrzewi. Co do ilości zabitej zwierzyny, był to najbogatszy dzień naszych polowań. Zabiliśmy oprócz dwóch dubeltów i bociana czarnego, zdobytego przezemnie, 43 cietrzewi, rezultat, jak na tamte strony, i to w roku, stosunkowo w zwierzynę ubogim, niebywały.

Dnia tego widziałem kawał starego i dziewicze go lasu, kawał istnej puszczy. Z powodu procesu, toczącego się o ten szmat lasu, utopionego między błotami, nikt go nie tykał. Walily się sosny i jodły z czasów Witolda, a nikt ich nie podnosił, bo nie miały właściciela. Za to las wyglądał zupełnie pierwotnie, a gąszcz był miejscami nie do przebycia. Ziemię zaściewały gnijące gałęzie, połamane starością i wichrami, między drzewami pełzał dziki chmiel, płacząc między sobą mniejsze drzewa i krzewy. Paprocie dorastały na gruncie, bogatym w wilgoć, do niebywałych rozmiarów. Była to zresztą jedyna drobniejsza roślina, jaka zostać się potrafiła w tych głębiach leśnych, do których nigdy nie zaglądało słońce.

Zasypany śniegiem, las taki musi być zupełnie nie do przebycia, ale pięknie wygląda w oczach myśliwego z pewnością. Tak wyobrażałem sobie zawsze knieje, w których za dawnych czasów polowali nasi przodkowie, tura dopiero i niedźwiedzia do grubej licząc zwierzyny.

Rozkoszowałem się tą puszcza i ciszą, przerywaną tylko pukaniem dzięciołów po spróchniałym drzewie. Było ich tam tak wiele, jak nigdy przedtem nie widziałem, widocznie ściągniętych pokarmem, którego dostarczały zgrzybiałe, opadające z kory, olbrzymy.

Późno po południu wróciliśmy do obozu zmęczeni, zerwani zwierzyną, którą dźwigać potrzeba było, mimo upału.

Wieczoru, który nastąpił po tem popołudniu, nie zapomnę nigdy. Po skwarnym dniu i po deszczu za-

padł cudny, gwieździsty wieczór, chłodny, wonny i bez mgły. Blizki las wydawał się jeszcze czarniejszym, ognisko jaśniejszem. Wszystko razem wydało mi się tak pięknem, tak romantycznym, tak odmiennem od codziennego żywota, jak nigdy. Prostu uczulem się człowiekiem innym niż zwykle, o szerszym duchu, szerszej piersi, łatwiej czującym to, co piękne i dobre; lepszym.

Długo, długo w noc siedzieliśmy, a raczej leżeli, leniwie wyciągnięci na pledach, zasłuchani w opowiadania starych myśliwców, którzy, jakby się chwając, kto więcej widział, coraz to lepsze opowiadali zdarzenia i historye. Nie wszystko w nich było prawdą, ale mniejsza o to, byle się słuchało przyjemnie. Jan, bywalec piękniej umiał opowiadać, za to leśnik był więcej prawdziwym i więcej miał charakteru. Nawet jodły nie szumiały dokoła, zasłuchane w opowiadaniach starych myśliwych, a księżyc wypłynął z za borów na sam szczyt nieba i patrzył na nas z wysoka, cichy i pogodny. Innych on tam ludzi, inne puszcze, inne lowy widywał w tych miejscach...

Ach! a to powietrze, jakim tam oddychaliśmy!.. Od szopy ciągnęło świeże siano, jak balsam, a z lasów załatywał nas ten silny, zdrowy zapach sosen i paproci, który idzie od lasów po gorącym dniu.

Trochę rozmarzeni bajkami starych, trochę tęskni za tem, co minęło i nie wróci, poszliśmy spać.

Nazajutrz ze świtem ruszać mieliśmy znowu na polowanie pod przewodnictwem starego leśnika, który cuda nam obiecywał w miejscach, do których nas

prowadził. Leżałem jeszcze długo na sianie, wpatrując się w gwiazdziste niebo, przeglądające przez niedokończoną strzechę i usnąć nie mogłem. Jedna z gwiazd nad samym zrębem szopy, najjaśniejsza i najmigotliwsza, mrugała ciągle ku mnie, jakby się przekomarzała, że coś wie, a powiedzieć nie chce. Z jej obrazem pod powiekami usnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy obudził mnie jakiś głos przed wrotami naszej szopy. Nastawiłem ucha i doleciały mnie słowa: „Z Warszawy — bardzo pilno — na noc wysłali z S“.

Zrozumiałem i wytrzeźwiałem w jednej chwili. To o mnie chodziło. Wybiegłem przed szopę, gdzie konny posłaniec trzymał depezę i rozmawiał ze starym Janem. Przy księżycu przeczytałem depezę. Zaadresowana do mnie, te dwa tylko zawierała słowa: „Przyjeżdżać zaraz“. Podpisane nazwisko nie dopuszczało zwłoki. Obudziłem mego znajomego, bo ruszać trzeba było zaraz, jeżeli zdążyć chciałem na wieczorny pociąg. Przed świtem ruszyliśmy do S., rzucając te lasy i to życie cygańskie, pełne uroku.

Bądźcie zdrowe knieje, głuszcze i cietrzewie! Wspominam o was z westchnieniem, a myśląc o tych kilku dniach na Litwie, czuję i widzę te noce wilgotne i pachnące, ten księżyc w pełni, płynący nad obszarem czarnych lasów, i te sympatyczne twarze, oświetlone ogniskiem, dokoła którego rozkładał się co dnia nasz myśliwski tabor. O starym Janie myślę często, a wydaje mi się on — w warunkach, w których żyć trzeba, i w porównaniu z ludźmi, z któ-

rymi przestaje — istotą z innych czasów, czy z innej planety. Rozmawiamy z Blackiem o naszych tryumfach, które święciliśmy na litewskich rojstach. Black kiwa ogonem i patrzy mi tęsknie w oczy, potem ziewa i zwija się pod kominkiem w kłębek, jakby mówił: „Złe i nudne czasy, wtedy lepiej było...”

Przed południem byłem w S., skąd po obiedzie obdarowany zabita zwierzyną, pożegnany serdecznie i wycalowany, ruszyłem w drogę, zostawiając serce i wdzięczność, a najlepsze wioząc wspomnienia. Bodaj czy nie lżę obtarłem pod okiem, żegnając tych dobrych ludzi i te lasy gościnne...

Pod wieczór, jak szereg żórawi, zaczerniały słupy telegraficzne, i wstyd mnie bierze, kiedy mam wyznać, że doznałem milego uczucia, myśląc, że te słupy to droga, wzdłuż której za dziesięć godzin będę w domu, gdzie czeka na mnie kąpiel, własne łóżko, biurko, asfalt i znajomi. *Consuetudo altera natura...*

Na dworcu w Warszawie patrzano na mnie, jak na Robinsona albo Stanleya, kiedy opalony, brudny i zarosnięty, wysiadłem z wagonu, a posługacz niósł za mną broń i powiązane pękami ptaki, nieznane u nas. I Black był uszczęśliwiony powrotem do domu, bo i on zniewieściał, jak jego pan, i zależał pole. A jednak, gdyby nam kto zaprononował drugą podobną wyprawę, mimo trudów, mimo upału i torfniaków, powiedzielibyśmy obaj: „Choćby jutro!”

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 675



100000000078